F. CHWALIBÓG.

HUMORESKI.

LWÓW.
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO.
WARSZAWA. – KSIĘGARNIA S. SADOWSKIEGO.
1903.

DO.......

Namiłościwsza pani ma i dobrodziejko, białogłowskiego rodu przedziwny ornamencie, cnót wszelakich i przystojności skarbnico.

Fortuna poskąpiwszy dostatku, lica gładkości, oraz głosu *ad cantum* sposobnego, onych nazacnieyszych do serca niewieściego wytrychów, pozwoliła, niby sroga macocha w późnem opamiętaniu, czużym dziatkom co nieco folguyąca, piórem się zabawiać i w tem pociechę naleźć.

Jobowey i Simonidowey nie łakomy gloryey, płaczów i lamentów płonych nie pomału zbywszy, koło samey krotofile, jenom się krzątał.

Ku osobliwemu serca ucieszeniu, aby z onego, jako z świątynie frymarki, smutki

niepoczciwe, wygnały, napisane, Tobie namiłościwsza pani godnieyszych hołdów bywała te fraszki ofiaruje, niby nikczemny szeląg między czerwieńce kładąc.

Gdyby zasie jakowa onych *cruditas* mdłe ucho porazić miała, tedy tey księgi zaniechay abo *aromata* aplikuy, a statek wnet przydzie.

A teraz pozwól abych nad marcepany, bakaliye i inne specyały ręki Twey, śniegom Septentryonu srom czyniącej, słodkości przenosząc, mógł oną pocałunkami opatrować, sam się Twym napowolnieyszym służką mianując.

INTENZYWNY PRZEMYSŁ.

Na rozstajnych drogach życia, zostały mi w kieszeniach pustki, w duszy fantazya i energia... przyszłego czynu. Czem zostać? Urzędnikiem, dziennikarzem, rolnikiem? Ach, nie! mnie nęciła karyera wielkiego przemysłowca — wytwórcy milionów, nababa, rzucającego pieniądze na prawo i lewo. Postanowiłem mieć milion koniecznie i to w krótkim czasie. Bo cóż mi po milionie, gdy wzrok osłabnie, włosy osiwieją, smak stanie się niewyraźnym. Zrobię przyjemność tylko moim spadkobiercom. Musiałem więc teraz albo nigdy wydobyć z zakątka mej duszy chciwie ukrywaną przed otoczeniem: pomysłowość, nieugiętą pracę i spryt życiowy.

Jeden z moich przyjaciół, specyalista od dobrych rad, zwrócił moją uwagę, że

pieniądz robi pieniądz, że bez kapitału ani rusz. Udałem się zatem do jednego bogatego znajomego, ale nie było sposobu zastać go w domu. Dotąd nie wiem, czy to ja miałem takiego pecha, czy też była to jego dobra gwiazda. Zmęczony, zdenerwowany, ale nigdy nie tracący ducha, powiedziałem sobie z mocą: człowiek energiczny sam tworzy kapitał, nie oglądając się na innych. Iluż nędzarzy zostało Krezusami, ot tak, z niczego, z energii powietrza i odrobiny szczęścia.

Początki były skromne.

Z dawnych, lepszych czasów, pozostał mi rasowy, piękny wyżeł — mebel ozdobny, nie produktywny, więc go sprzedałem na samym wstępie handlowej karyery. Za uzyskany grosz kupiłem świnię, w nadziei, że mi się wkrótce uda doskonale ją utuczyć resztkami codziennie spożywanych potraw. Zastrzegam się jednak, że na tej świni nie zakładałem wcale fundamentów mojej przyszłej fortuny. Chciałem tylko zacząć pracować na seryo i zamanifestować przed światem nowy utylitarny kierunek: nic w domu bez produkcyi — wszystkie drogi muszą prowa-

wadzić do miliona. Oto dewiza, którą miałem zawsze na pamięci.

Trzeba było także zmienić tryb życia bezcelowego dotąd i swobodnego. W programie należało przedewszystkiem nakreślić ranne wstawanie, ową drożynę do majątku, jak twierdzą znawcy na tym punkcie, synowie Albionu.

Jestto jedna z najdotkliwszych przykrości, jaka spotkać może człowieka inteligentnego o marzycielskiem usposobieniu, to ranne budzenie się i zrywanie na nogi.

Rozkoszna temperatura materaca, po ośmiogodzinnym śnie, zamienia łóżko wprost w jakieś nieokreślone Eldorado. Upaja ona i wiąże nasz organizm słodkimi pęty, a jednak wiedziałem o truciźnie ukrytej na dnie kielicha i od dziecięcych lat marzyłem o rannem wstawaniu.

Należało teraz marzenie zamienić w czyn. Ale jak? Uzbroiłem się w wolę, w żelazną wolę. Niestety, najbardziej stanowcza wola w czasie snu nie działa. Przypomniałem sobie na szczęście przysłowie: sztuką wilki tłuką. Są przecież budziki! Nie, nie — sprzeciwiałoby się to moim

i łoju; zapachu do owego cudownego środka miała dostarczyć, przez absorcyę gazów, woń pomarańcz, rozchodząca się po pokoju. Na tem głównie polegał mój wynalazek.

Sądzę, że każdy niedowiarek przyzna mi teraz, że bądź co bądź byłem na drodze do miliona!

Niestety wspaniały gmach genialnych pomysłów misternie powiązany pracą i energią, roztrąciła jedna, mała, nic nie znacząca dystrakcya, będąca zresztą znamieniem, lecz zarazem i nieszczęściem wielu wybitnych osobistości.

Odszedłem razu pewnego do miasta dla wyszukania odbiorców na moje cenne produkta. Znajduję ich, rzecz naturalna, odrazu i prowadzę do mieszkania; otwieram drzwi — straszna ruina przedstawia się moim oczom. Plastra ani śladu, cztery garnki z powideł próżniuteńkie, a w kącie leży martwa, spuchnięta ohydnie świnia.

Z początku błysnęło mi podejrzenie, że to sprawka zbrodniczej ręki jakiegoś zazdrośnika. Ale nie! to ja! ja sam! przemysłowiec od stóp do głów, zdusiłem własne dzieło własnemi rękami.

Wszystko przewidziałem, wszystko obrachowałem, niczego nie zapomniałem, tylko... tylko... nie dałem mojej świni jeść od tygodnia.

MÓJ DEBIUT DZIENNIKARSKI.

Początek jest najtrudniejszym w każdym zawodzie — najbardziej w dziennikarskim. — Znajomość ortografii nie zawsze wystarcza, jakby się to na pozór zdawać mogło. Jestto tylko warunek konieczny. Na wszelkie nowości w pisowni n. p. na pisanie hlep, zamiast dawnego chleb, albo żatki, redaktorowie i część publiczności patrzą niechętnem okiem. Na tym punkcie muszę sobie oddać sprawiedliwość, byłem wprost mistrzem. Znałem pisownię akademii, pisownię racyonalną i zwyczajową, umiejąc je przytem harmonijnie mieszać ze sobą, z obawy znużenia czytelnika jednostajnością systemu.

Dziennikarz musi mieć dokładne pojęcie o wszystkiem, co było i jest, powinien także domyślać się, co będzie, bacząc je-

dnak pilnie, aby przed laikami (każdy czytelnik jest laikiem) rąbka szlafroka przyszłości zbytecznie nie odsłaniać. Dziennikarz musi ciągle trzymać rękę na pulsie społeczeństwa, dla którego pracuje... Może on dać się porwać zmiennej fali nowych prądów, ale niech kroczy poważnie wśród wezbranej rzeki; tak, aby wszystkim się zdawało, że to on ją popycha...

Ale najprzykrzejszym ze wszystkiego, w początkach publicystycznej karyery, jest stosunek z głównym redaktorem. Każdy tak zwany kierownik pisma »pracujący w znoju od szeregu lat na niwie dziennikarskiej« jest trochę zmęczony, dlatego korzysta z nadarzającej się sposobności i odrazu zrzuca na nowo wstępującego współpracownika, cały balast najtrudniejszej roboty. Nowicyusza uważa taki rutynowany pan za miotłę do uprzątania redakcyjnego śmietnika, nie pomnąc, że pod młodą czaszką kipi życie i że nie należy pączka zasuszać wśród butwiejących szpargałów.

I mnie taki los spotkał, gdym wstąpił do redakcyi »*Rozwoju*«.

Pismo to istniało od kilku lat. Redaktor p. Serowicz, gdy je zakładał, długo

się wahał, czy ma dać mu tytuł »*Rozwój*« czy »*Rozbój*«, ale w końcu zdecydował się na »Rozwój«, przewidując, że na ostatnią nazwę organ jego tak czy tak z czasem sobie zasłuży.

Jako próbną pracę miałem skreślić i ocenić kilka książek przesłanych do redakcyi: »Nasze konie, bydło i trzoda i ich leczenie« p. Nepomucena Piskorskiego, weterynarza I klasy. 800 str. in quarto. Dwutomowe dzieło historyczne prof. hr. Wykońskiego p. t. »Drugie imię pierwszej żony Mikołaja z Przemankowa«, rozprawa chemiczna prof. Ramolskiego »Połączenia aromatyczne jako takie i ich rola we wszechświecie ze szczególnem uwzględnieniem naszych stosunków«. Oprócz tego pięć tomów poezyj nadesłanych z różnych stron, wszystkie wydane »nakładem autora«, co świadczy, o bogactwie nie tyle poezyi, lecz wbrew ogólnemu mniemaniu, o bogactwie naszych poetów.

Zabrałem się żwawo do roboty. Po półgodzinie przyszedł redaktor.

— Czy pan już skończył? zapytał mnie, mrugając złośliwie ostatniem okiem, jakie mu z walki o zasady pozostało... Chciał-

bym przejrzeć, co pan napisał i zaraz posłać do drukarni, bo mamy dzisiaj miejsce i właśnie zamykamy dziennik.

— Pan chyba żartuje? Zaledwie jestem na trzydziestej stronicy, muszę przecież napisać sumienną krytykę.

— Bardzo szanuję pańskie sumienie, ale na teraz o sumienie wcale nie chodzi, tylko o szybką robotę. Zapomina pan, że pracujemy w dzienniku, musimy biedz panie, musimy biedz, bo nas inni prześcigną. Inteligentny człowiek, tylko spojrzy na tytuł a co najwyżej na spis rzeczy i już wie, co książka warta. Takim trybem nigdy pan dziennikarzem nie zostanie. Mniejsza zresztą o to, byle pan jutro skończył, a dzisiaj damy parę telegramów o powodzi w południowym Meksyku i o nowej wyspie na oceanie Spokojnym.

Pojąłem w lot całą wartość wskazówek mojego szefa. Nazajutrz ukazała się moja recenzya.

— Pana Piskorskiego, weterynarza I klasy napadłem już za sam tytuł »Nasze konie, bydło etc.« W wyrazie »nasze« dopatrzyłem się komunistycznych dążności.

Co to znaczy »n a s z e«? pytałem, ja znam tylko m o j e albo c u d z e, ale o »n a s z y c h« nie chcę wiedzieć — nie zazdroszczę sąsiadom p. Piskorskiego. — Następnie zganiłem szafowanie środkami antyseptycznymi. »Krowy mogą napić się przez dystrakcyę kwasu karbolowego, przez co narażeni będziemy na spożywanie zatrutego i o wstrętnym zapachu mleka«, w końcu poddałem myśl, aby używać w stajniach mydła Pearsa i crême Simon, które to środki nadają jak wiadomo, śnieżną białość skórze. »Co za wygrana dla białoskórników« wołałem »dostawać tak przygotowane skóry, nad któremi czuwało oko zapobiegliwego hodowcy«.

Z dziełem historycznem, miałem nie równie więcej trudności do zwalczania. — Autor, badacz przenikliwy, ciężko uczony profesor i biegły dyalektyk, doszedł z dokumentu na którym widoczne były tylko litery M a r a, że drugie imię pierwszej żony Mikołaja z Przemankowa mogło być tylko Marya albo Marta. A to dlatego, że wyrazy M a r p a, M a r f a, M a r s a nic nie znaczą w żadnym języku, słowo zaś M a r h a oznaczające cebulę w języku Bo-

tokudów, prawdopodobnie nie było używane u nas, do imion własnych; raz dlatego, że dawni Polacy cebuli wogóle nie lubili, a także i z tego powodu, ponieważ o Botokudach wtedy u nas nie słyszano, gdyż mało podróżowaliśmy, a zresztą Ameryka podówczas nie była jeszcze odkrytą. Profesor oświadczył się za imieniem Marya, ponieważ było to imię pospolitsze u nas w XV-tym wieku.

Ja innego byłem zdania.

»Przyzna szanowny autor« — pisałem, »że Mikołaj z Przemankowa był człowiekiem niezwykłym, a więc jest wielkie prowdopodobieństwo, iż pojął za żonę osobę z mniej zwykłem nazwiskiem«.

Pracę chemiczną zbyłem krótką wzmianką, zarzucając autorowi, że nie wspomniał ani słowem o mydłach fabryki »Tlen«, ani o »wodzie krakowskiej« i proszku do zębów p. Ihnatowicza, najlepszych w kraju połączeniach aromatycznych.

W ten sposób pracując, dobiłem się wkrótce uznania i sławy. Nie pisano o mnie inaczej, jak »cięte, choć nie zawsze sprawiedliwe pióro naszego znanego krytyka«.

Po tygodniu obchodziłem jubileusz »sie-

dmiodniowej rzetelnej działalności na polu publicystyki, literatury i nauki«.

Z powodu nawału dziennikarskich zajęć, zupełnie zapomniałem o pięciu tomach poezyj, nadesłanych do redakcyi *Rozwoju* przez autorów, a które zaraz pierwszego dnia mojej dziennikarskiej karyery dostałem do zreferowania. Domyślam się trochę z jakiego powodu zawiodła mnie pamięć. Pewnego południa posłałem do cukierni po kawę. W chwili, gdy chłopak stawiał na mojem biurku tacę, nie wiem jakim sposobem pięć tomów poezyj spadło na ziemię, zaklinam się na wszystko, bez żadnego z mej strony współudziału. Z biegiem czasu nieszczęsne utwory dostały się pod fotel, gdzie nikt ich nie ruszał. W końcu tak się przyzwyczaiłem, że formalnie nie mogłem nic pisać, nie czując rymów pod nogami. Występek mój, prawda nieświadomy, nie mącił mi snu bynajmniej, aż do czasu, gdy dostałem o drugiej w nocy depeszę następującej treści:

»Umyślne milczenie podłą zawiścią nikczemny postępek godzien publicznego napiętnowania, egzemplarz natychmiast

odesłać: Kołomyja poste restante Ananke«. Podobnych przypomnień dostałem jeszcze kilka.

Tylko jeden z pokrzywdzonych przezemnie wieszczów był tyle domyślny, iż przysłał na koszta przesyłki 30 centów czekiem przez bank Rothschilda w Wiedniu.

Na to, aby czytelnicy zrozumieli dalszy ciąg tego opowiadania muszę na teraz odbiedz od przedmiotu,

Redaktor Serowicz był człowiekiem niesłychanie chciwym. Z dochodów dziennika postanowił nabyć na zupełną własność kolej północną cesarza Ferdynanda. Do tego celu dążył z nieugiętą konsekwencyą, w redakcyi zaprowadził system oszczędnościowy, polegający na tem, że każdy pisał na swoim papierze, własnem piórem i atramentem. Nie wiem jak inni, ale ja oszukiwałem mojego szefa, gdy się tylko do tego nadarzyła sposobność. Ile razy szedłem do niego z jakim interesem, trzymałem zawsze w rękawie ukryte pióro i maczałem je niepostrzeżenie w redaktorskim kałamarzu.

Miałem odesłać poezye... Żal mi było

własnym kosztem sprawiać opaski. Wyrwałem więc z każdego tomu po jednym arkuszu papieru i zawinąłem nim książkę. Był to równocześnie akt zemsty, a raczej kary, bo ja się nigdy nie mszczę tylko karzę. Ale następstwa mojego pomysłu były bardzo smutne, dotąd mnie trapią wyrzuty sumienia. Dwóch oficyałów pocztowych przeczytało z nudów zadrukowane opaski — obaj dostali się do Kulparkowa, a pewien sentymentalny pocztylion, który rozwożąc te poezye, próbował dorobić do nich melodyę — zatrąbił się na śmierć.

„POD GRUSZKĄ“.

— Czy nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest muzeum przemysłowe? — pytałem raz mojego dobrego znajomego, o mały włos, że nie przyjaciela, a który był także przytem i rodowitym Lwowianinem.

— Owszem, dlaczego nie? mogę panu powiedzieć; wprawdzie jeszcze w niem nigdy nie byłem, ale wiem, gdzie jest; jeśli się nie mylę, to muzeum przemysłowe znajduje się przy magistracie.

— A gdzie magistrat?

— Koło ratusza.

— A ratusz?

— Na rynku.

— A rynek?

— W starem mieście.

— A to już wiem! Niedaleko restau-

racyi zwanej »pod gruszką«? Byłem tam wczoraj zaraz po przyjeździe. Teraz, niech mi pan wybaczy, jeszcze jedno ostatnie pytanie: O której godzinie zwiedza się u was muzea?

— Jeżeli mam panu szczerze wyznać, to u nas muzeów wcale się nie zwiedza, ale ktoby chciał sobie ten sport urządzić, najlepiej zrobi, jak pójdzie rano.

Wybrałem się więc nazajutrz o piątej rano, co mi przyszło z łatwością, ponieważ przyzwyczajenie do wczesnego wstawania było jedyną pamiątką, przywiezioną przezemnie z Borneo, oprócz choroby *beriberi* i oprócz dwóch papug, jakie musiałem mieć zawsze przy sobie dla wprawy w malajskim języku.

Zasadę »oszczędnością i pracą« wraz z jej domniemanymi skutkami, znałem z opowiadania, a teraz chciałem wprowadzić w życie, przynajmniej część jej pierwszą, dlatego postanowiłem pójść piechotą do owej jadłodajni »pod gruszką«, mojego oryentacyjnego punktu. Plan miałem taki: Zjeść dobre śniadanie dla nabrania sił do zwiedzania zbiorów, wypytać się dokładnie o muzeum, a w razie

potrzeby wyrysować sobie mapkę przyszłej marszruty na mankiecie, obejrzeć kolekcye i przy sposobności zapytać się, czyby nie zechciano mnie wysłać na wyspy Sunda, dla sprowadzenia modelu domu na palach, mogącego mieć także doskonałe zastosowanie we Lwowie.

Pomimo, że już było po piątej, ulice zastałem prawie zupełnie puste, a co gorsza restauracyę »pod gruszką« zamkniętą.

»U nas inaczej«, zanuciłem melancholijnie, mając naturalnie na myśli Borneo, a nie Ukrainę. Nawet w tak dzikim kraju, jak Celebes i Timor, że już nie wspomnę o Dżilolo, Bali, Lombok, o archipelagu wysp Trędowatych i Złodziejskich, wszędzie oddawałem wizyty u śmietanki tamtejszego towarzystwa o piątej, najpóźniej o szóstej rano, a tu taka marna restauracya śmie być zamknięta! Ha! co kraj to obyczaj...

Nie pozostawało, rzecz prosta, nic innego do roboty, jak wyważyć drzwi i powybijać okna, ażeby dać znać o sobie i przywołać kogoś, ktoby mnie obsłużył.

Godzinę blisko majstrowałem, jednak bez żadnych widoczniejszych wyników.

Urwałem wprawdzie klamkę i zbiłem ośm szyb, ale nikt nie przychodził mi na ratunek.

Ponowiłem usiłowania; tym razem z lepszym skutkiem, gdyż już po trzech nowych rozbitych szybach zjawił się jakiś człowiek, mający dużo mosiądzu na sobie, a przy boku nóż w pochwie, podobny kształtem do malajskiego »krisza« i zapytał mnie dosyć szorstko, jak na kelnera:

— Czego pan chce?

— Befsztyk po angielsku, flaszkę porteru i wiązkę bananów — zakomenderowałem.

Człowiek w mosiądzu zagwizdał przeciągle na świstawce. Byłem przekonany, że nawołuje kucharza, tymczasem przybiegło pięciu panów, całkiem do niego podobnych i poczęli skubać mnie po ubraniu, pragnąc najwidoczniej, abym poszedł za nimi.

Opierałem się trochę, ale będąc filozofem od urodzenia, zgodziłem się z przeznaczeniem.

Dwóch szło przedemną, dwóch po bokach i dwóch za mną. Niedawno temu ta sama liczba kulisów nosiła mnie w palankinie!

W drodze dowiedziałem się, »że musiałem się dobrze zalać, że mnie pan komisarz nauczy, co znaczy brewerye po nocach wyprawiać i wybijać szyby w cudzych domach i że dostanę co najmniej trzy miesiące przezpłatnego pomieszkania«.

Domyśliłem się odrazu, że to jest straż bezpieczeństwa, która mnie prowadzi do kacyka.

W policyi spisano ze mną protokół. Byłem oskarżony o zamącenie spokoju publicznego, o opór władzy i o złośliwe uszkodzenie cudzej własności.

Chciano mnie koniecznie wsadzić do aresztów śledczych, jednakowoż po długich pertraktacyach, uzyskałem pozwolenie złożenia kaucyi w wysokości tysiąca guldenów. Nie miałem takiej sumy na sobie, wypadło mi więc jechać do banku, naturalnie w towarzystwie dwóch policyantów, co spowodowało niesłychane zbiegowisko, skutkiem czego dwie kobiety zemdlały w ścisku, a jedno dziecko wpadło do studni bezpowrotnie.

W ten miły sposób spędziłem czas aż do południa. Głód uczułem teraz nie na

żarty; wskoczyłem więc do pierwszego napotkanego fiakra i kazałem się zawieść prosto »pod gruszkę«. Zjadłem obfity obiad, wypijając dwie butelki szampana, dla pocieszenia się po przygodach dnia. Kelnerowi dałem pięć reńskich na piwo, żeby mi wskazał najkrótszą drogę do muzeum. Dostałem wzamian tak doskonałe objaśnienie, iż trafiłbym tam niewątpliwie, nawet jeżelibym chciał iść gdzieindziej, gdyby nie deszcz.

Nie miałem parasola! Przypomniałem sobie w tej chwili, jak jadąc do Kasy widziałem wcale przyzwoity parasol, tak przynajmniej wyglądał, na wystawie sklepowej za niską cenę 1 złr. 50 ct. Po półgodzinnem szukaniu, cały zmoczony, trafiłem nareszcie do tego samego magazynu. Zaproponowałem najpierw kupcowi zamianę parasola na doskonałą bambusową laskę, którą sobie sam parę lat temu wyciąłem w dżunglach Gangesu. Nie było jednak ani mowy o zawarciu ugody, bo nasi kupcy nie mają poprostu najmniejszego pojęcia o handlu zamiennym. Załatwiwszy się z parasolem, wstąpiłem do składu gotowych, właściwie gotowych

do wyrzucenia ubrań, gdyż w zmoczonym surducie nie wypadało mi odwiedzać przybytku sztuki.

O ile łatwo przyszło mi trafić ze starego miasta do nowego, o tyle powrót jeżył się trudnościami. Dziwna rzecz, jaka masa cudzoziemców mieszka we Lwowie! Niktby tego nie przypuszczał. Na siedmiu przechodniów, których pytałem o drogę, sześciu było nietutejszych a jeden głuchoniemy; dotąd nie wiem skąd rodem.

W końcu około drugiej popołudniu zdecydowałem się wziąć doróżkę. Ponieważ wziąłem ją pod samą bramą, prowadzącą do muzeum, dorożkarz czuł się w obowiązku obwieść mnie jedenaście razy naokoło Rynku, zanim stanął na tem samem miejscu, mówiąc:

— A to kawał drogi dopiero, koń się zmachał za cały dzień, żebym nie wiedział, że z porządnem państwem jadę, tobym wcale nie chciał jechać, powiedziałbym: zajęty — i tyleby było jazdy, ale z wielmożnym panem to zara widać, że krzywdy człowiek nie będzie miał.

Wbiegłem na schody zdyszany.

— Do muzeum? — pyta mnie woźny.

— Tak do muzeum.

— A to chyba jutro, bo teraz właśnie zamykamy.

Po kilku dniach, przekładając w kawiarni dzienniki, natrafiłem na następującą wzmiankę w jednej z polskich gazet:

»Waryat, rzezimieszek czy też ktoś inny? Donoszą nam ze Lwowa: Jakiś młody człowiek, dosyć schludnie ubrany, szturmował poprzedniej nocy do jednej z pierwszorzędnych restauracyj, przyczem wyłamał drzwi i powybijał z okien szyby, a ze snu spracowanych mieszkańców. Okoliczności, w jakich był ten wandalizm dokonany, każą domyślać się, że sprawcą był przedstawiciel t. zw. złotej młodzieży, która utraciwszy majątek za granicą, powraca do kraju w celu szukania tanich wrażeń dla rozstrojonych hulatyką nerwów. Pięknie się panowie bawicie! Hańba! Zapytujemy się, gdzie były podówczas organa bezpieczeństwa, na które składa ludność grosz krwawo zapracowany? Hańba!«

Berliner Tagblatt przedstawił sprawę w cokolwiek innem świetle w depeszy pod tytułem »*Neue Judenmassacre in Polen*«:

»Szlachta polska, rządząc się istotnie szatańską polityką, chciała odwrócić uwagę publiczną od coraz więcej szerzących się strajków, spowodowanych tem, że robotnikom rolnym płacono najwyżej po 4 ct. za dzień roboczy, w niektórych zaś okolicach po 2 ct., a nawet niekiedy robotnicy zmuszani byli do dopłacania znacznych sum za pozwolenie pracowania na obszarach dworskich, szlachta więc w strachu o siebie, zorganizowała okropną rzeź żydów, tej najkulturniejszej warstwy mieszkańców Galicyi. Rozjuszony tłum pod wodzą takich wyrzutków społeczeństwa, jak pp. Halicki, Maryacki i Krakowski, zniszczył całą dzielnicę żydowską, zwaną G r u s c h k a, mordując starców, kobiety i dzieci. Pewnej zacnej damie zabito w jej oczach szesnaście jej własnych niemowląt, a gdy prosiła, aby choć ostatniemu darowano życie, rozbestwiony słowiański motłoch, zabił nietylko dziecko, ale i matkę, będącą jak nam z wiarygodnego źródła donoszą, w odmiennym stanie«.

Dzienniki francuskie także trochę fakta przekręciły. Oto co pisał *Petit Journal:*

»W mieście rosyjskiem Lwoff wybuchł

dawno wygasły wulkan, zwany Mont-Grouchka, zalewając lawą i zasypując popiołem prawie całe miasto. Z milionowej ludności zaledwie kilka tysięcy zdołało się uratować szybką ucieczką na stojące w porcie okręty. Znany rosyjski geolog p. Przemislowy utrzymuje, że wybuch ten jest w związku z katastrofą na Martynice. Byłby to nowy dowód, że w dwóch krajach, złączonych nierozerwalną, miejmy nadzieję, przyjaźnią, bije jedno tętno«.

POKÓJ PRZY FAMILII.

Sprzykrzyło mi się życie samotne. Nietylko smętne obiady w restauracyach, a raczej w katowniach żołądków, przy stołach mytych piwem, ale także myśl, że mieszkając osobno, mogę chorować, mogę umrzeć, a nikt się o tem nie dowie. Przykra była mi także cisza — chciałem słyszeć od czasu do czasu dźwięk mowy ludzkiej i czuć koło siebie ciepło obcego wprawdzie, ale domowego ogniska. To też przyczytawszy ogłoszenie: »pokój kawalerski przy inteligętnej rodzinie, wykwintnie umeblowany«, pobiegłem nająć go czemprędzej.

Wykwintne meble składały się z łóżka, kulawej szafy, zaplamionego stołu, szczątków umywalni i dwóch stołków. Byłem jednak zawsze bardzo wyrozumiałym na

cudze przekonania, nie robiłem więc wyrzutów państwu Gromkaszelskim za przymiotnik, użyty w niewłaściwem miejscu.

Rodzina pana nadrachmistrza Gromkaszelskiego składała się z papy, mamy, babci i siedmiu maleńkich pociech. Pośrednią przyczyną tak licznego potomstwa była wzmianka dziennikarska o wyludnianiu się Francyi, którą to okoliczność p. nadrachmistrz wziął ogromnie do serca, bojąc się, aby podobne stosunki i u nas z czasem nie nastały.

Na nowe mieszkanie sprowadziłem się późnym wieczorem; położyłem się odrazu do łóżka, rozkoszując się myślą, iż w razie nieszczęścia jest ktoś, kto mi oczy zamknie...

Nie mogłem jednak w żaden sposób usnąć. Rodzina pana nadrachmistrza tak była zajęta kombinacyami na przyszłość, w czem nie małą rolę grało eskontowanie dochodów z nowego lokatora, że północ dawno wybiła, kiedy gwar ucichł. Właściwie nie ucichł, ale zamienił się z gwaru samowiednego w nieświadomy świst, chrzęst i szum zmęczonych ludzkich organów.

Mija jeden kwadrans, mija drugi, a straszny nokturn nie ustaje, ale się wzmaga. Papa chrapie z widocznem zamiłowaniem i wprawą, jakby niczego innego w życiu się nie uczył. Babcia kaszle tak często, tak miarowo, iż podejrzewam ją o posiadanie osobnego zegarowego przyrządu do kaszlania — dzieci siąkają i sapią na przemiany, a najmłodsze, jednomiesięczne co moment wydaje ostrą krytykę urządzeń społecznych, które nie pozwalają nasycić się mlekiem każdemu i o każdej porze; mamusia uważa za właściwe kiwać kołyską, ręką wyciągniętą z pod kołdry (tak sobie przynamniej wyobrażam), nucąc przytem dla rozproszenia nocnej nudy, huś, huś — huś, huś!

Przecierpiałem może dwie, może trzy godziny to stopniowe obrażanie moich nerwów — w końcu nie mogłem wytrzymać, no — nie mogłem.

Próbowałem wyskoczyć oknem, ale okna w kawalerskich mieszkaniach trzeba poznać za dnia, aby módz je otworzyć w nocy; każde ma swój odrębny mechanizm tak skomplikowany, że węzeł gordyjski w porównaniu — to zwykła pętelka. W roz-

paczy chwyciłem się środka ostatecznego: włożyłem pantofle i cichaczem podkradłem się do drzwi familijnego sypialnego omnibusu, otworzyłem je ciszej, niż motyl swoje skrzydła, wpadłem do pokoju i z szybkością rysia powybijałem jak muchy wszystkich Gromkaszelskich, potem rzuciłem na mamusię poduszkę i zdusiłem ją starannie, w końcu strzeliłem do papy raz w serce, raz w głowę, a resztę nabojów sześciostrzałowego rewolweru wpakowałem mu z prawdziwą lubością w usta. O babuni byłbym zapomniał z powodu wrodzonej dystrakcyi, ale na szczęście dała znać o sobie swoim miłym kaszelkiem.

Anioł wyprułby z serca resztę litości, słysząc ten odgłos, a ja miałem współczucie dla tej kobiety, może nawet trochę sympatyi, dlatego nic jej złego nie zrobiłem, wyciągnąłem tylko starowinkę z łóżka delikatnie za nóżki i wsadziłem ją głową na dół do wiadra z wodą, do której dodałem nawet cały talerz cukru.

Zrobiwszy porządek, wróciłem do siebie. Rzecz dziwna, nie czułem najmniejszego wyrzutu sumienia, owszem jakieś błogie

zadowolenie, jak po spełnieniu ważnego obowiązku.

Położyłem się, jak gdyby nic nie zaszło, do łóżka i zacząłem układać mowę do swojej obrony w sądzie.

— Panowie — powiem — uwzględnijcie mój stan podniecenia, byłem wyzwany, działałem w własnej i społeczeństwa obronie. Cóż znaczy strata kilku jednostek, które i tak prawdopodobnie prędzej czy później musiałyby zakończyć ziemski żywot, wobec zasady, wobec interesu całego ogółu, cóżby się stało ze spokojną częścią ludzkości, gdybyśmy pozwolili bujać rozkiełzanym żądzom: chrapania, kaszlania i siąkania.

Tak marząc, usnąłem snem sprawiedliwego. Zbudziła mnie dopiero o ósmej rano służąca — weszła uśmiechnięta i widocznie pełna dobrych chęci — spojrzałem na nią badawczo. Nie wie o niczem — pomyślałem. — Tymczasem Kasia postawiła koło mnie herbatę, mówiąc:

— Pani kazała się spytać, czy pan z cytryną, czy ze śmietanką?

W tej samej chwili usłyszałem chrząkanie pana Gromkaszelskiego, miarowe

pokaszliwanie zdrowiuteńkiej babuni i liczne głosy dziecinne!

Jakto, więc na nic się nie zdała moja energia? Oto, co znaczy brak rutyny! A może to tylko sen!

Odwróciłem się do ściany i zacząłem gorzko płakać....

PAN ZYGMUNT ALOPECKI.

I.

Pan Zygmunt Alopecki był człowiekiem absolutnie doskonałym; zresztą może być, że jakiś pedantyczny krytyk i w nim by się dopatrzył pewnych niedokładności, odkryłby może drobne przywary... Co do mnie, to mu je wszystkie z góry przebaczam, bo złoty ten człowiek, jak mi mówiono, o mnie nigdy nic złego nie powiedział.

Miał on jednak dwie wielkie wady, ale zupełnie niezależne od charakteru: był goły i to obustronnie; po mieczu i po kądzieli, nie posiadał amerykańskiego wujaszka ani na lekarstwo, ani choćby odrobiny zimnej ciotki *à succession*. Był więc pod tym względem nieuleczalnym. Drugą

wadą była bezczelna łysiną z bardzo nieznaczną demarkacyjną linią pomiędzy czołem i karkiem.

Nie zgadzam się z lekarzami na genezę łysiny. W większej części wypadków, nie pochodzi ona od *herpes tonsurans*, tylko od czysto mechanicznych powodów; od stawania na głowie i od częstych prób przebijania muru głową, do czego właśnie pan Zygmunt Alopecki nieraz bywał zmuszony twardemi okolicznościami życia.

Posiadał on niewielki majątek Polskie Mosty, około sześciuset mórg dobrej, ale tak obdłużonej ziemi, iż istotnie trzeba było być akrobatą, aby przez kilkanaście lat módz się wykręcać od ustawicznie grożącej licytacyi. Już, już dawał za wygraną, gdy w ostatniej chwili, jakaś genialnie obmyślana *combinazione* ratowała sytuacyę: To rozbiór starego budynku, to sprzedaż dwom kupcom tego samego produktu, to kilkadziesiąt dębów zapomnianych w wyciętym lesie, albo przerzedzenie topolowej alei przydrożnej.

Chociaż z musu oddany trosce o jutro, był przecież pan Zygmunt marzycielem, w najpiękniejszem tego słowa zna-

czeniu. Myślał o uszczęśliwieniu ludzkości, a szczególnie swojego kraju, różnymi humanitarnymi zakładami. Ale cóż, kiedy nie posiadał funduszów, a do zrobienia majątku brakowało mu sposobności i czasu. To też oparł swoje plany szerokich reform społecznych (jak: publicznych bibliotek, w którychby dawano oprócz książek także i kawę za darmo dla rozbudzenia czytelników, łaźni ludowych z obiadem w nagrodę za kąpiel, tanich kuchni z szampanem na wypłaty) na posagu swojej przyszłej żony. Pan Zygmunt postanowił ożenić się z Amerykanką z posagiem conajmniej trzydziestu milionów dolarów. Dwadzieścia milionów byłby obrócił na utworzenie majoratu Alopeckich, całą zaś resztę na dobroczynne zakłady, którychby został dożywotnim kuratorem. Ten szlachetny zamiar przeprowadziłby z wszelką pewnością, gdyby nie to, że bogate Amerykanki do Lwowa nie przyjeżdżały, bojąc się, że ich tu nikt nie zechce, a na podróż do Ameryki dziedzic Polskich Mostów nie miał pieniędzy. A nie miał dlatego, że ile razy władał kilku stówkami, natychmiast rozpoczynał party-

zantkę w bakarata albo w pokera. Na systematyczną kampanię stać go nie było. Przeczuwał też, iż będzie musiał uledz w końcu przewadze kapitału bogatszych partnerów... lecz nie mógł się oprzeć urokowi walki... gdy na czele paruset najemników (tak nazywał pożyczone guldeny) rzucał się na całe zastępy regularnego wojska.

Był przytem trochę mistykiem, jak wszyscy gracze, więc wierzył w swoją dobrą gwiazdę.

— A nuż się uda — myślał sobie — pochwycić kilkanaście tysięcy obcych żołnierzy do niewoli? Ale się nie udało. Owszem w ostatnich czasach, doszedłszy do trzydziestego siódmego roku życia, nadział się w okrutny sposób z czterema królami na cztery asy... Był pewnym wygranej i szedł na całego...

Bajecznie miły człowiek, zawsze uprzejmy, zawsze jednakowo umiarkowanie wesoły, czy przy wenie, czy przy pechu, stracił pierwszy raz w życiu humor: postanowił nie grać więcej, zakopał się na wsi i zaczął zawzięcie gospodarować...

II.

O dwie mile od Polskich Mostów mieszkała w Partesowie wdowa, pani Adolfowa Trembalińska, z córką Natalią — właścicielka znacznej fortuny w ziemi i kapitałach.

Pani Adolfowa znaczną część roku przepędzała z reguły za granicą: w zimie bawiła w południowych Włoszech, w jesieni jeździła do coraz to innych kąpieli morskich, gdzie szukała od ośmnastu lat polepszenia dla swojej jedynaczki, chorej na niesłychanie drobny, prawie karli wzrost i na odziedziczony po matce krótki wzrok.

Pomimo, że pani Trembalińska była bardzo poczciwą osobą i dużo dobrego robiła, nie była lubioną i mało kto u niej bywał. Zarzucano jej, że się ludziom zanadto badawczo przypatruje, jakby chciała się dowiedzieć, jaką kto nosi podszewkę i bieliznę i że mówi do każdego tonem znudzonego sędziego do winowajcy.

Panna Natalia oddawała się z zapałem sztukom pięknym stosowanym do przemysłu — szczególnie malowaniu na por-

celanie i skórze. We dworze wszystko było zdobione ręką panny Natalii — nie przepuściła talerzom, imbrykom, filiżankom, szybom, piecom. Wogóle co było ze szkła lub porcelany, otrzymywało natychmiast różnokolorowe wieńce z kwiatów i parę motyli lub chrabąszcza. W stajni dostało się uprzężom od pendzla panny Natalii, nawet siodło rządcy pana Kalaputrynowicza zostało pięknie pokryte różnymi emblematami rolnictwa: pługiem, sierpami, liśćmi koniczyny, żółtym i niebieskim łubinem, żniwiarką zawieszoną w powietrzu i marchewką — co wszystko pan administrator cierpliwie na razie zniósł, a potem poniósł na sobie.

Od kilku lat zaniedbaną dawną znajomość z panią Trembalińską postanowił teraz pan Zygmunt odnowić.

Nie chodziło mu o te panie. Bał się pani Adolfowej, a panna Natalia nie podobała mu się; nazywał ją porcelanową figurką, dla jej, od jasnej cery odbijających rumieńców, małego wzrostu i stereotypowego uśmiechu. Panu Alopeckiemu chodziło jedynie o rządcę pana Kalaputrynowicza, który mieszkał we dworze

i jadał razem z paniami, a którego chciał pan Zygmunt ubrać w cztery pary starych chomąt, siewnik i młockarnię Claytona.

Pan Kalaputrynowicz był z zawodu konsumentem tytoniu, który palił we wszystkich możliwych postaciach od rana do nocy — w wolnych chwilach oddawał się gospodarstwu.

Pan Zygmunt rozpoczął z panem Kaputrynowiczem jednostajnie przyspieszony flirt, przywożąc mu niby z zagranicy to paczkę hiszpańskich paquetosów, to kilka hawańskich cygar, doszedłszy po trzeciej wizycie do zrobienia wspaniałego prezentu: olbrzymiego cybucha o dwucalowym wylocie.

Tak drobny na pozór fakt, jak kilkakrotne wizyty pana Alopeckiego u pani Trembalińskiej, rozszedł się szybko po okolicy. Najpierw, jak to zwykle bywa, dowiedzieli się o tem żydzi. Z ciekawością pytali, nie dając wiary pogłosce: co? un się żeni z Trembalińskie? z te krótkie?

Pan Icek Immerduft, jeden z głównych wierzycieli pana Zygmunta, udał się do

dworu w Polskich Mostach dla zebrania pozytywnych wiadomości.

Gdy pan Zygmunt dojrzał stojącą na dziedzińcu małą biedkę, zaprzężoną w siwego konia, uciekł czemprędzej do sypialnego pokoju z zamiarem udania nagłego napadu cholery, nie zdążył jednak; w drodze spotkał się oko w oko z panem Immerduftem.

Żyd był nadzwyczaj grzeczny, ani razu nie wspomniał o terminie i zaległych procentach, rozp ywał tylko o zdrowie, o urodzaje, a w końcu dodał jakby od niechcen'a:

— Ludzie powiadają, co się jaśnie pan żeni, czy to prawda? powinszować, powinszować.

Zręczny gracz odrazu przewąchał, o co chodzi; jakie korzyści może dla siebie z tej bajki wyciągnąć, gdyż mu ani w głowie nie postała myśl starania się o pannę Trembalińską. To też odpowiedział wymijająco:

— Jakże się tu żenić, kiedy niema ani na konie przyzwoite, ani na nowy powóz.

— A ile jaśnie panu potrzeba?

Pomyślał chwilę — już co najmniej

trzy tysiące, ale to mało, cztery — poprawił się,

— No to będą pieniądze — odrzekł żyd ze spokojem — a na kiedy potrzebne? jutro szabes, potem święta, no to za tydzień będą, kłaniam jaśnie panu...

I były pieniądze — tylko nie cztery tysiące a jeden tysiąc.

I pojechał znowu pan Alopecki do Partesowa, wiozący tym razem, oprócz paczki prawdziwego Caporalu dla pana Kalaputrynowicza, także i bukiet z własnego ogrodu dla panny Natalii. Po kilku jeszcze wizytach zauważył, że panna ma jednak w sobie coś bardzo przyjemnego.

Niestety, sam nie zrobił najmniejszego wrażenia, przekonał się niejednokrotnie, że te panie mają go wprost za starego kawalera *hors concours*.

Gdy podkreślił w rozmowie o kimś znajomym: to zupełnie jeszcze młody człowiek — tak mniej więcej w moim wieku, panna Trembalińska śmiała się otwarcie, uważając to za żart, za *selbstironie*. Raz pan Kalaputrynowicz, wypaliwszy cztery cygara i sześć fajek, jedną po drugiej, zwierzył się panu Alopeckiemu, iż go te

panie posądzają o jakąś tragedyę w życiu — dziwią się, dlaczego taki miły człowiek nie ożenił się we właściwym czasie.

— Ależ panie! — oburzył się pan Zygmunt — ja zaledwie przeszedłem trzydziestkę, to ta łysina, ta łysina nieszczęsna tak mnie starzeje.

Przez dwa tygodnie nie zjawił się pan Zygmunt w Partesowie. Po upływie tego czasu, posłał pan Kalaputrynowicz umyślnego posłańca z gębą do Polskich Mostów, aby zapytał, czy p. dziedzic nie chory.

— Jutro przyjadę — kazał odpowiedzieć pan Zygmunt — byłem bardzo zajęty...

Przyrzeczenia dotrzymał. Wyjeżdżając prosił panie, czyby nie były łaskawe zaszczycić swoją obecnością prowincyonalnego teatru w X., dla którego napisał właśnie dramat pod tytułem: »Zwalczony przesąd, czyli Niespodzianka«. Pierwsze przedstawienie miało się odbyć w najbliższą niedzielę. Panie ogromnie zaciekawione zgodziły się natychmiast.

Napisanie dramatu było kulminacyjnym

punktem energii życiowej i sprytu pana Zygmunta. Przedstawił w nim bohatera łysego wprawdzie, lecz wlał mu w duszę taką dozę męstwa, uczucia, poświęcenia, wogóle wszystkich cnót, iż łysy współzawodnik odnosi zwycięstwo nad czterema młodymi, o bujnych czuprynach, rywalami do ręki pięknej księżniczki.

Już w pierwszym akcie łysy bohater wyławia dwoje dzieci z nurtów rzeki — w drugim wynosi z płonącego pałacu swoją przyszłą wraz z jej matką... w trzecim zabija trzech kędzierzawych konkurentów — same czarne charaktery — im gęstsze włosy, tem niecniejszy człowiek. — W czwartym akcie następuje ślub — w piątym widzimy bohatera poprzednio łysego, ze wspaniałą czupryną... ogólne zdziwienie i radość — cóż się stało? Bohater uczeńszy od Champoliona, czyta hieroglify łatwiej, niż wzory kaligraficzne — odnalazł w starych papirusach przepis z czasów Ramzesa, na cudowną maść, której używali egipscy kapłani, gdy im włosy wypadały...

Dramat oddziałał magnetycznie na pannę Natalię; pan Zygmunt został przyjętym,

pod warunkiem podróży poślubnej do Egiptu...

Zamiast trzydziestu milionów dolarów, dostał na razie zaledwie sto tysięcy reńskich posagu. Pomimo tego nie zrzekł się wcale swoich humanitarnych planów, rzecz prosta, musiał się ograniczyć do ram daleko szczuplejszych: ofiarował więc tylko swoje kawalerskie łóżko do powiatowego szpitala i sprawił dwanaście nowych elementarzy do miejscowej wiejskiej szkółki...

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

N e r w o w e m u. Ile kosztuje zabicie kataryniarza bez premedytacyi, nie umiemy panu dokładnie powiedzieć. W każdym razie nie drogo. Może pan śmiało spróbować na naszą odpowiedzialność. Im więcej pan kataryniarzy zabije, tem taniej wypadnie; policzą panu cenę ryczałtową.

J e ź d ź c o w i. Na konia wsiada się z lewej strony i lewą nogę kładzie się najpierw w strzemię, chyba, że pan chce jeździć przodem do ogona. — Koń bez grzywy nic nie wart pod wierzch; ma pan zupełną słuszność.

W y n a l a z c y. Pański wynalazek robienia łebków u zapałek zamiast ze zwykłej, z drugiej strony patyczka, jest bardzo oryginalny, ale patentu nie kupimy.

O s z c z ę d n e m u. Kąpać się raz na dwa

lata nie jest zdaniem naszem karygodną rozrzutnością. Nie podzielamy pańskiej hipotezy, aby państwo rzymskie upadło z powodu nadmiaru łaźni.

Aptekarzowi. Czy się opłaci dalsza fabrykacya proszków fiakierskich wobec powiększonej sieci tramwajów elektrycznych, przyszłość pokaże. Najpraktyczniej byłoby zmienić nazwę lekarstwa.

Ciekawej. Nietylko można, ale należy wytoczyć proces magistratowi, jeśli pani zamacza buciki, — *Corpus delicti* (nie korpus delikatny, tylko buciki) trzeba złożyć w sądzie. Nie radzimy jednak kupować drugiej pary, tylko chodzić przez ten czas boso, inaczaj naraziłaby się pani na podwyższenie podatku osobisto-dochodowego. — Szpilek podwójnych nie potrzeba wozić z sobą całych kufrów, dostanie ich pani i na prowincyi. — Filareci i filateliści to nie jedno i to samo. — Japończycy mają cerę żółtą. — Fortepianu w redakcyi nie posiadamy. Dreufuss ma tylko dwie nogi. Wierszyka nie możemy umieścić.

Berlińczykowi. Ważył pan 62 kgr. mieszkając w Berlinie, obecnie po dwóch latach pobytu w Galicyi, ciężar pański

dochodzi 98 kgr., jak nam pan łaskawie donosi. Ileby pan stracił w przeciągu roku, powróciwszy do Berlina, nie da się z góry obliczyć; kwestya tak doniosła, że warto zrobić doświadczenie.

Lingwiście. Chociaż słowa »excelencya« i »exinteligencya« uważa pan za synonimy, nie radzimy mieszać tych wyrazów na adresach, dedykacyach i petycyach.

Skrupulatnemu. Więc pańska narzeczona podobna jest jak dwie krople wody do swojej matki i gdyby się pan dwadzieścia pięć lat temu urodził, ożeniłby się pan z matką i zostałby pan ojcem swojej dzisiejszej narzeconej? Jestto tylko warunkowe pokrewieństwo, dyspensy nie potrzeba.

Systematycznej. W ile miesięcy po ślubie można mężowi powiedzieć «idyoto», na to stałych reguł niema. Jak można wogóle o coś podobnego pytać? Od czego instynkt kobiecy?

Konserwatorowi. Butów po pańskim dziadku ck. mandataryuszu, muzeum narodowe nie kupi, zresztą niech się pan zgłosi osobiście, pośrednictwa się nie podejmujemy.

Archeologowi. Pasaż Mikolascha nie pochodzi z średnich wieków. Czy Ziemowit często zmieniał poszewki, nie mamy pozytywnych danych. Kwestya istotnie bardzo ważna.

Malarzowi. »Zamiatacz ulic« śliczny motyw do rodzajowego obrazka, ale czy pan znajdzie model w kraju? W każdym razie temat nie będzie swojski.

Tury ście. Nie słusznie się pan skarży, że wszystko zakopiańskie jest drogie; są wyjątki: chustki do nosa w stylu zakopiańskim nic nie kosztują.

Odważnemu. Że pan jadł knedle w biały dzień, bezpośrednio po sprawie wrzesińskiej, tego nie można znowu uważać za szczyt odwagi cywilnej. Dlaczego pan prosi o sekret?

Przedsiębiorcy. Wydobywanie żelaza z wody krynickiej, założenie sali balowej na Łomnicy i wielkiej czytelni we Lwowie — to znakomite interesy. W tem sęk, żeby znaleźć kapitały; będziemy szukali. Skoro znajdziemy, nie omieszkamy panu donieść, ale jeżeli pan pierwszy znajdzie, prosimy o wzajemność.

G o ś c i n n e m u. Niech pan będzie spokojny, pozwolimy księciu Hohenlohe kąpać się w Morskiem Oku i używać Polskiego Grzebienia, kiedy tylko zechce.

NIEWINNE DZIECIĘ.

Zapewne przypominacie sobie państwo tę słynną rozprawę, która się toczyła w roku X., w miesiącu X. przed sądem w X? Ową rozprawę, przy której okrył się taką sławą mój kolega adwokat X, uwalniając od wszelkiej odpowiedzialności człowieka uznanego jednomyślnie winnym przez sąd przysięgłych i już skazanego wyrokiem trybunału na śmierć przez powieszenie.

Ponieważ ja także byłem wmieszanym do tego procesu, znam doskonale wszystkie jego tajniki; mogę więc dzisiaj, gdy bohaterowie głośnej sprawy pomarli, podać o niej parę ciekawych i zupełnie nowych szczegółów.

Niejaki Hrycio Paskuda, mieszkaniec wsi X., bardzo porządny i pracowity gospodarz, rozpłatał lat temu X czaszkę

swojemu młodszemu bratu, podejrzywając go o kradzież dwudziestu centów.

Z powodu łagodzących okoliczności (przykrycie ofiary dla decorum gnojem) skazany tylko na dziesięć lat kryminału, odsiedziawszy swoją karę wrócił Hrycio na wieś. Tu poznał niebawem przystojną tak zwaną dworkę, Ewkę Nieudałą. Miłość Hrycia Paskudy nie była zapewne pierwszą, gdyż liczył podówczas pięćdziesiąt siedm lat, wliczając już w to lata przebyte w kryminale, była za to gorącą... Natomiast Ewka wzdragała się iść za kryminalistę, tembardziej, że posiadał on zaledwie trzy morgi jałowego gruntu i jedną niezbyt mleczną krowę.

Z powodu oporu Ewki miłość Hrycia przeszła w nienawiść, przyprowadzając go w tej nowej postaci do powtórnego zejścia z drogi cnoty. Ewkę znaleziono zagrzebaną w lesie... Według orzeczenia lekarzy pochowaną była żywcem. Podejrzenia wszystkich padły na Hrycia i tylko na Hrycia, ale pewnych dowodów nie było; chyba, że za dowód możemy uważać pęk włosów wyrwanych mu z czupryny, jaki tkwił w rę-

ku Ewki Nieudałej i rydel, własność Hrycia, zapomniany przy denatce.

Sąd jednak, jakeśmy to wyżej wspomnieli, uznał Hrycia Paskudę winnym morderstwa; przeciwko czemu mój kolega, sławny adwokat X. wniósł teraz rekurs, korzystając z jakiejś niedokładności formalnej.

W tym samym mniej więcej czasie Jan Kanty Maciej, dwojga imion, Paluch, zamordował trzech świeckich podróżnych w celu grabieży, na trakcie prowadzącym z Opatowa do Ujścia Jezuickiego. Na razie go nie pochwycono, dopiero po kilku tygodniach rzecz się wydała, gdy Jan Kanty Maciej Paluch zabił swoją żonę Agnieszkę Kuferek, z zawodu mamkę, przekonawszy się po ślubie, że nie była tak cnotliwą, jak to sobie wyobrażał. — Obrona Palucha mnie przypadła z urzędu.

Miałem trudne zadanie: głupi człowiek, nie radząc się swego obrońcy, przyznał się natychmiast do wszystkiego. W tym wypadku nie było innej rady, jak dowieść jego niepoczytalności. Jednak, ażeby tak sprawę obrócić, za mało było ofiar; niedołęga zabił zaledwie cztery osoby! Cho-

dziło mi koniecznie o pokaźniejszą cyfrę, przynajmniej o siedmiu a w najgorszym razie o sześciu zabitych. O wypuszczeniu na wolność podsądnego, aby sam się zajął skompletowaniem wymaganej liczby, mowy być nie mogło, zanadto dobrze był strzeżonym.

Dzięki Bogu, szczęśliwy wypadek posłużył mi w moich zamiarach wyśmienicie: W okolicy jednego z większych miasteczek Galicyi środkowej zabito dla rabunku dyurnistę nazwiskiem X. Już samo zabicie dyurnisty dla rabunku jest czemś tak fenomenalnie nienormalnem, iż nie powinno być nigdy karane więzieniem; takiego mordercę można zawsze, nie czekając na opinię doktorską, posłać wprost do Kulparkowa.

Niezmiernie uradowany z tego tajemniczego morderstwa namówiłem mojego klienta, aby się natychmiast przyznał do zgładzenia dyurnisty. Nie byłem jednak jeszcze całkiem zadowolony z siebie, sumienie szeptało mi wciąż do ucha, żebym nie opuszczał człowieka, który we mnie położył całą swą nadzieję; to też skwapliwie rozczytywałem się w dziennikach,

szukając choć paru zagadkowych morderstw. Moim usilnym zabiegom zawdzięczam wiadomość o wyroku śmierci, wydanym na Hrycia Paskudę. Kiedym przeczytał krótką kronikarską wzmiankę o tym wypadku, czułem się parę minut jakby w ekstazie; podobnego uczucia musiał doznawać Kolumb, stawiając po raz pierwszy jajko.

Tego samego dnia wieczorem, zjechaliśmy się z moim kolegą dr. X., sławnym odtąd adwokatem.

Po tygodniu obadwaj podsądni byli uwolnieni od odpowiedzialności.

Paluch dostał się do domu obłąkanych, gdzie umarł pod razami dozorców, wraz z kilkunastoma innymi towarzyszami, właśnie w chwili, gdy uznany został za nieszkodliwego chociaż nieuleczalnego i miał zakład opuścić.

Nigdy nie zapomnę entuzyazmu, z jakim wyprowadzono Hrycia Paskudę — nawet tenor, biorący wysoki cis mógłby mu owacyi pozazdrościć. Dzienniki w namiętny sposób oskarżały sądownictwo o lekceważenie życia ludzkiego a pewien poeta napisał na cześć Paskudy cały cykl

sonetów... Przytoczę tu jeden, niestety jedyny, jaki w całości zapamiętałem:

Kmiotku, który swe życie miałeś nieść w ofierze
Ludzkiej sprawiedliwości, hydry w zaślepieniu,
Niegodnie Cię zamknęli, dając twarde leże,
Niewinność Twoja, bracie, zostawała w cieniu.

Ty im pewnie przebaczysz, bo żałują szczerze
Swych ohydnych podejrzeń, widzę to w spojrzeniu
Twem, w Twych oczach baranka i dlatego wierzę,
Doznają łaski w niebie przy Twojem modleniu.

Idź do Twej wioski, spocznij, przytul się do łona
Twojej ojczystej skiby, która utęskniona
Oczekuje na syna, co błąka się w świecie.

Idź pod rodzinną strzechę i niech Cię nie gniecie
Wspomnienie, dni zatrutych cierniowa korona,
Lecz wprzód nam pobłogosław Ty, niewinne dziecię.

Niewinne dziecię zmarło w kilka lat potem, przeżywszy przeszło sześćdziesiąt wiosen. Koniec miało tragiczny: podpalając dworską stodołę bez żadnej metody, zamiast na dole, założyło ogień na dachu i wpadło w płomienie. Czytaliśmy wtedy w jednym z dzienników następujący nekrolog:

»Hrycio Paskuda, niepomny krzywdy wyrządzonej mu przez społeczeństwo, zakończył życie w sposób istnie bohaterski, ratując mienie i życie bliźnich. Niechaj mu ziemia będzie tak lekką, jakim był nasz sąd o nim«.

ZNAWCY.

Od pierwszych lat mojego istnienia, okazywałem wybitną żyłkę do gromadzenia zbiorów. Już w czwartym roku życia posiadałem bogatą kolekcyę dziurawych piłek, pestek ze śliwek i zdechłych chrabąszczy. Zachowała się o tem żywa tradycya. Sam nie pamiętam oczywiście nic a nic z tego okresu dzieciństwa, z tej najszczęśliwszej, jak mówią, epoki ziemskiej wędrówki człowieka, najszczęśliwszej, rzecz prosta, dla otoczenia.

Doszedłszy do lat młodzieńczych, zbierałem równie namiętnie, choć więcej systematycznie, najrozmaitsze skarby, jak: motyle, zioła, minerały, marki pocztowe. Niestety, przed wakacyami, z reguły następowała ogólna wyprzedaż. W zamian zakupywałem zwykle to uździenice, to ostro-

gi, to strzemiona nowego systemu, a także czasem i sznurek korali. Jednem słowem, przedmioty bądź dla osobistego użytku, bądź dla wyrobienia sobie popularności przydać się mogące.

Pasya moja przechodziła jeszcze różne fazy; w końcu utknąłem na skupywaniu starożytności. W nowym zawodzie spotykały mnie liczne przykrości i rozczarowania. Nie pamiętam boleśniejszej chwili od tej, w której się okazało, że szpada nabyta przezemnie za prawdziwą Louis XV, była bronią używaną po dziś dzień przez austryackich wojskowych weterynarzy. Mimo to nie traciłem bynajmniej animuszu. Pocieszałem się zawsze nadzieją znalezienia w końcu jakiegoś białego kruka, jakiejś niebywałej rzadkości, którąby mi ryczałtowo powetowała nieniejednokrotnie poniesione dotkliwe straty.

Po śmierci słynnego Pelikana, który w ciągu swojej karyery antykwarza, dostarczył do różnych prywatnych zbiorów: sześć buław Sobieskiego, całe stosy haftów Marysieńki, cztery szczerbce, kądziel królowej Jadwigi i wiele innych równie ciekawych i autentycznych przedmiotów,

głównym moim dostawcą został Szulim Preger.

Bardzo sympatyczny, usłużny i w gruncie rzeczy dobry żydek, ale kręt, oszust, złodziej ponad wszelkie wyobrażenie — nie każde stulecie może się zdobyć na podobny okaz — pewnie jeszcze żyje, bo nie słyszałem, żeby go powieszono.

Szulim znał mnie na wylot. Wiedział, o której porze zastanie mnie w najlepszem usposobieniu. Dlatego przychodził regularnie o dziesiątej, gdy po rannym tubie i obfitem śniadaniu, byłem w dobrym humorze.

Szulim handlował nietylko starożytnościami ale i starzyzną, kto wie nawet, czy w przenoszonych ubraniach nie znajdował więcej smaku niż w starej porcelanie. Zdarzało się czasem, że i u mnie coś kupił, jakiś kawałek odzieży, »w której wstyd było chodzić takiemu panu! pod hairem wstyd«.

Jeżeli się targowałem, przemawiał do mojej ambicyi! »Taki magnat i targuje się! a co biedny żydek zarobi?«

Magnat mieszkał stale na trzeciem piętrze, naturalnie dla świeżego powietrza.

Szulimowi bardzo nie na rękę było to dreptanie po schodach, zwłaszcza w owym gorącym, pamiętnym dla mnie dniu, który właśnie mam zamiar teraz opisać.

Wyglądałem oknem. Przyznaję się, że wyglądałem za Szulimem, bo już parę minut minęło po dziesiątej, a jeszcze go nie było widać. Ciekawy byłem co mi dziś przyniesie (codziennie przynosił coś nowego), a przytem targowałem u niego od kilku dni ładną saską figurę, o którą bardzo mi chodziło; przeczuwałem, że mnie ktoś podkupi.

Cierpliwość moja nie była narażoną na długą próbę. Niebawem ujrzałem swego dostawcę, jak trzymając w każdym ręku po jednym obrazie, na plecach mając przymocowany trzeci, wkraczał ostrożnie, bokiem do bramy.

Usiadłem, rozumie się, natychmiast przy biurku i zagłębiłem się w atlasie Andréego, na którym od dawna kreśliłem plan podróży naokoło świata.

Zamierzałem ją odbyć, za pierwsze większe pieniądze zarobione na starożytnościach.

Po kilku minutach ktoś nieśmiało za-

pukał do drzwi mojego mieszkania. Udałem, że nie słyszę. Kto nie chce paść ofiarą bliźnich, niech starannie ukrywa drgania swego serca, choćby się do nich gwałtem wyrywało. Po jakimś czasie żyd znowu zastukał, a gdy i tym razem nie dałem odpowiedzi, wszedł bez dalszych ceremonii do pokoju. Ja tymczasem dalej wodziłem nosem po mapach.

— Uf! strasznie wisoko — przemówił Szulim, suwając nogami.

— A! kupiec! cóż tam słychać? — spytałem, nie podnosząc głowy od książki.

— Co ma bicz slichać? Źle jest. Towaru niema, a kupców się nazjeżdżało i z Wrocławia i z Berlina i z Pesztu, wszistko bi kupili, dobzie płacą. Ale niech wilmożny pan spojrzy, co ja tu przzyniosłem, a fein antik, raritne obrazy, to nie na handel, tilko tak obijrzeć, to hrabia Pursowski chce kupić. — Tak nazywał Preger hr. Purchowskiego.

Słysząc to nazwisko, wzdrygnąłem się. Hr. Purchowski był to amator starożytności. Nie mogłem go znosić. Nic mi wprawdzie złego nie zrobił, ale działał mi na nerwy swoim wiecznym, przytłu-

mionym chichotem, a co najważniejsza robił mi konkurencyę, skupując gdzie się dało wszystkie możliwe starożytności.

Nie znał się na nich na szczęście, ale zawsze między różnemi śmieciami trafiało mu się czasem nabyć także rzecz cenną, na którą miałem chrapkę. Co raz kupił, można było uważać za stracone dla świata. Bo chociaż niekiedy dostawało się jeszcze w obrót handlowy, to tak zeszpecone dodatkami hr. Purchowskiego, iż traciło wszelką artystyczną wartość. Hr. Purchowski był skończonym maniakiem: po całych nocach wyrzynał piłką najrozmaitsze dziwolągi z drzewa, które potem przybijał do swoich stylowych mebli; gobeliny cerował zawzięcie, a na sewrskiej porcelanie malował swoją własną fizyognomię. Dowiedziawszy się o tych zbrodniach, zaczaiłem się raz w ciemnym zaułku na hr. Purchowskiego z rewolwerem. Niestety wyrwano mi broń z ręki w chwili, gdy go już miałem doskonale na celu... Kto sam nigdy nie robił kolekcyi, osądzi mnie pewnie za mój projekt surowo, ale ręczę, że prawdziwi amatorowie wszystkiego co piękne, stare,

lub choćby ciekawe, wszyscy zbieracze staną jak jeden mąż po mojej stronie.

Preger wiedział o uczuciach, jakie żywiłem do mojego rywala, dlatego wymienił jego nazwisko.

— Hr. Purchowski ma cholerę, nie radzę tam chodzić — próbowałem nastraszyć żyda.

Nie udała mi się jednak sztuka, bo Szulim znał widocznie ten stary koncept.

— Niech un sobie ma te słaboszcz, żida sze pańska choroba nie czipi, ja sze nie boje — odpowiedział.

Starożytności składały się z dwóch mniejszych i jednego sporego płótna. Były to rzeczy istotnie stare, ale pokryte tak grubą warstwą brudu, iż po prostu nie można było dostrzedz jednego pociągnięcia pendzla, malowidła wyglądały, jakby je kto pociągnął czernidłem do butów i wyszczotkował.

Dla kolekcyonerów takie właśnie zagadkowe dzieła zamierzchłej przeszłości przedstawiają niesłychany urok, pobudzając ich fantazyę do różnych domysłów i krzepiąc nadzieję odkrycia nieznanego arcydzieła. Nie zraziłem się więc temi

powierzchownemi niedokładnościami obrazów i zapytałem o ich cenę.

— Dla wilmożnego pana sto pińćdziesiąt ryńskich.

— *A rih an daan taty aran! wus sugste ganef bistte a miszygge?* (Niech zły duch wstąpi w twego ojca! co mówisz złodzieju? czyś oszalał?) — przemówiłem uprzejmie żydowskim żargonem dla zjednania sobie Szulima. Do takich to pochlebstw uciekać się muszą biedni amatorzy, gdy chcą coś tanio nabyć.

— No, co jest? to dużo? hr. Pursowski obiecował mi swoim własnym giembem sto ryńskich.

Po długich targach nabyłem tajemnicze dzieła za piętnaście guldenów. Nadzwyczaj kontent z transakcyi dodałem jeszcze Szulimowi parę znoszonych trzewików. Pocałował mnie za moją hojność w rękę. Nie cierpię czołobitności, ale chcąc mu zrobić przyjemność nadstawiłem mu jeszcze drugą. Życie jest ciągłem poświęceniem.

Nie miałem pojęcia co kupiłem, czy zrobiłem dobry interes, czy też dałem się oszukać. Więc pobiegłem natychmiast do

profesora hr. Wykońskiego, autora sześciotomowego dzieła pod tytułem »Trzy kwadranse w Wenecyi«, specyalisty do perspektywy działu retrospektywnego w malarstwie i opowiedziałem mu szczegółowo o moim nowym nabytku.

— Więc pan powiada, że nic absolutnie nie widać na tych obrazach? — pytał mnie z najwyższem zajęciem uczony profesor.

— Nic a nic!

— A płótna bardzo podarte?

— Prawie same dziury.

— A to musi być coś bardzo starego i co zatem idzie bardzo ciekawego i cennego!

— Dlaczego pan tak sądzi? czy stara rzecz nie może być miernotą?

Profesor uśmiechnął się pobłażliwie.

— Zaraz postaram się panu wyjaśnić, że pan jest w błędzie — rzekł dobitnie, ale bardzo uprzejmym tonem i palnął mi taki wykładzik:

— Co zachowało nam od zagłady tyle skarbów literatury starożytnej, jeżeli nie wartość rzeczywista takich mistrzów, jak: Sofokles, Aristofanes, Cicero, Tacyt, Ho-

racy, że już nie wspomnę o boskim ślepym śpiewaku Homerze, o Eschylosie, Eurypidesie, Wirgiliuszu i tylu innych, tylu innych! To co było dobre, ludzie przechowywali starannie, a to co niegodne eliminowali, że tak powiem, ze swojego kulturnego dorobku... Czy zdarzyło się panu czytać romanse Sisenny?

— Czytałem kilka, ale niepamiętam treści — odpowiedziałem na wszelki wypadek.

— Przepraszam pana, że się sprzeciwię, lecz pan ich nie mógł czytać, gdyż już nie istnieją.

— Może mi się pomyliły nazwiska, a! to Sylvestre'a czytałem.

— Nie znam tego autora. Otóż Sisenna pisywał romanse, może je nawet tylko tłómaczył z greckiego; były to rzeczy sprośne, *même Mithridate en a été scandalisé*. Co pan powie? wszystkie zaginęły. — Idźmy dalej. Pan przyzna, że annale Tacyta, które się przechowały, a więc sześć pierwszych ksiąg, to rzeczy doskonałe? Nieprawdaż? Ale co sądzić o księgach siódmej, ósmej do jedenastej włącznie, których nie posiadamy?

Zaraz panu wyłożę moją teoryę: Ponieważ pierwsze i ostatnie księgi Tacyta są doskonałe, a więc pozostałe nie mogą być doskonalsze, bo doskonałość wyklucza stopniowanie. Także równie doskonałemi być nie mogą, gdyż, jak wiadomo, niema w naturze dwóch sobie równych listków, a więc są gorsze, i dlatego zaginęły. — Widzi pan — mówił dalej profesor — jakeśmy to czarno na białem udowodnili. Nie potrzeba koniecznie matematycznych obliczeń, ażeby zdobyć niezbity naukowy pewnik.

— Zapewne dla tej samej przyczyny zatraciliśmy tyle dzieł Fidyasza, Skopasa, Praxytelesa, — zauważyłem nieśmiało.

— Czekałem na pańską ironiczną uwagę, odparł z tryumfem profesor. To jest wyjątek, a wyjątki potwierdzają regułę!

— Więc ostatecznie wracając do rzeczy, opłaci się dać wyrestaurować te malowidła? — zagadnąłem profesora.

— Bez najmniejszej wątpliwości, na moją odpowiedzialność, zresztą to bagatela; będzie kosztować co najwyżej po kilkadziesiąt reńskich od sztuki.

— A do kogo mi pan radzi je oddać? Kto tu potrafi je odnowić?

— Krutowicz! tylko Krutowicz, to nieoceniony człowiek.

Malarz Krutowicz, od dwudziestupięciu lat przestał zupełnie malować, co było zresztą połączone z wielkim dla naszej sztuki pożytkiem. — Miałem nawet skutkiem tego swojego czasu zamiar wyprawić mu jubileusz dwudziestopięcioletniego wstrzymywania się od twórczości. Projekt z początku znalazł licznych entuzyastów, ale ostatecznie odrzucono go li tylko dlatego, że za granicą nie obchodzono dotąd podobnej uroczystości.

Jeszcze tego samego dnia, sprowadziłem pana Krutowicza do siebie.

— Niech mi pan powie, ale tak... otwarcie, czy się opłaci naprawiać te zbutwiałe płótna?

— Ależ oczywiście, — odpowiedział z zapałem — restauracya w ogóle zawsze się opłaca.

— Ja się pana nie pytam, czy wogóle się opłaca, tylko czy mnie w szczególności się opłaci?

— Jak ja naprawię te obrazy, to i panu

się opłaci... Niech pan zapyta kogo pan chce o Krutowicza! Mnie wszędzie cenią, mnie znają i w Dreźnie.

Istotnie, jakem się później dowiedział, w Dreźnie znali Krutowicza z tego, że mierząc cyrklem szerokość głowy jednego z aniołków, zrobił dziurę w obrazie Madonny Sykstyńskiej.

Za naprawę obrazów zgodziłem się zapłacić sto dwadzieścia florenów i oprócz tego dać naprzód dwadzieścia reńskich, na zakupno potrzebnych materyałów.

Po trzech tygodniach otrzymałem z powrotem moje obrazy, wyczyszczone, podklejone, wywerniksowane; wyglądały bardzo pięknie.

Wszystkie trzy malowidła przedstawiały konie.

Na jednym obrazie konie pasły się na łące, na drugim piły wodę z rzeki, a na trzecim tabun koni pędził w popłochu.

Znać było dobry pendzel; jednak podpisu malarza nie mogłem znaleźć, a chodziło mi bardzo o dowiedzenie się, co posiadam.

Znawców było bardzo wielu w mieście. Postanowiłem zebrać consilium. Nie

chcieli przecież zejść się jednocześnie, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać.

Pierwszy przybył »nasz znany i sympatyczny esteta eklektyk« dr. Mgielski, łączący cześć dla dawnych szlaków w sztuce z podziwem dla nowych jej kierunków. Interesował się on zarówno malarstwem, rzeźbą, architekturą, jak poezyą, muzyką i tańcem, dopatrując się we wszystkich tych objawach uzewnętrzniania się duszy ludzkiej, etycznego podkładu i transcendentalnej myśli.

— Z jakiej epoki mogą być te obrazy? — badałem estetę.

— Początek albo najdalej połowa siedemnastego wieku — odpowiedział bez zająknienia. Kto wie, czy to nie będzie Claude Lorrain; sposób traktowania łąki bardzo podobny.

Przysunął następnie wszystkie trzy płótna bliżej do okna; zaczął im się przypatrywać i porównywać je w skupieniu ducha.

Co chwila słyszałem wykrzykniki podziwu:

»A to ciekawe!« »Interesujący szcze-

gół!« »Osobliwe!« »A to oryginalne!« »Co za głęboka myśl«.

— Jakiej się pan myśli dopatrzył? — spytałem zaciekawiony.

— Jakto? nie odczuwa pan tego? Te rumaki rozhukane, to nasze dążenie do czegoś nieznanego, nieokreślonego, do szczęścia wiekuistego; pojące się konie to nasze nigdy nie nasycone pragnienie doskonałości, a konie pasące się na łące to rezygnacya, szarzyzna powszedniego życia... Teraz już ciemno, lecz jeżeli mi pan pozwoli to tu jeszcze przyjdę; chciałbym o tym przedmiocie małą rozprawkę napisać; dzisiaj ludzie nie lubią rozwlekłych traktatów, choćby o najwięcej zajmującym przedmiocie — westchnął estetyk.

Na drugi dzień, bardzo wcześnie, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, wpadł do mnie pan Wąchowski, znany z chciwości zbieracz starożytności, posiadacz ładnego zbiorku, oraz kustosz jednej z poważniejszych krajowych kolekcyj.

— Jak się pan ma? przyszedłem pana odwiedzić i przy tej sposobności powinszować panu kupna, ha! ha! ha! a to się

pan ubrał! Czy pan uwierzy, że ja to próchno mogłem mieć za pięć reńskich?

— A to cygan dopiero!

— Kto?

— Szulim naturalnie.

— Czy to prawda, że pan kazał odczyścić te obrazy?

— Tak. Tam stoją na komodzie.

— A cóż to za barbarzyńca je reparował! Wie pan, że nie dałbym za nie teraz ani trzech reńskich!

— Ja też bynajmniej nie myślę narzucać ich panu.

— Powiem panu sumiennie: Te obrazy nie mają dla pana najmniejszej wartości, ale mnie mogą się przydać jako okazy dawnego płótna, niech mi je pan daruje tak... po znajomości.

— Nigdybym nie śmiał robić panu takiego prezentu.

— No niech stracę! wrócę panu siedm florenów pięćdziesiąt centów, zawsze pan odbije połowę straty.

— Zapomina pan, że za odnowienie także coś zapłaciłem, nawet wcale dużo, sto czterdzieści guldenów, o ile sobie przypominam.

Słysząc tę cyfrę, Wąchowski złapał się za głowę, mina mu zrzedła, pokręcił się po pokoju, pożegnał się ze mną i wyszedł. Po godzinie znowu wrócił i chciał mi oddać wszystkie wyłożone przezemnie pieniądze.

— Obrazy muszą być grubo warte, kiedy Wąchowski daje za nie przeszło sto reńskich — pomyślałem sobie i oświadczyłem mu, że nie oddam ich za żadną cenę.

Około południa zajechali do mnie jednokonną dorożką dwaj serdeczni przyjaciele profesorowie: Wykoński i Dolmeński archeolog, bardzo uczony, młody jeszcze człowiek, biegły także w historyi sztuki.

Profesor Dolmeński posiadał niesłychanie smutny wyraz twarzy, zdawałoby się, że cierpiał nietylko za siebie ale i za innych, bo osobisty smutek stanowczo nie mógłby wystarczyć do wywołania tak melancholijnego wyglądu. Powiadano, że smutek uczonego profesora pochodził od częstego rozkopywania starych grobowców i cmentarzysk, któremu to zajęciu p. Dolmeński oddawał się z zamiłowaniem. Może

być, że przygnębiała go i ta okoliczność, że w grobowcach pomimo szczerej ochoty nigdy dotychczas nie znalazł złotych przedmiotów.

Gdy profesorowie zbliżyli się do obrazów, pierwszy profesor Wykoński krzyknął:

— To Wouwerman!

— To jest Potter! — sprzeciwił się profesor Dolmeński, ocierając łzę.

— Ależ kochany kolego, jak ja co mówię, to na pewnych podstawach — mówił pospiesznie profesor Wykoński, podniecony tym brakiem uznania dla jego wiedzy. — Dziecko w kolebce może poznać, że to Wouwermann!... Czy Potter kiedy konie malował?... Czy pan widział zbiory w Luwrze, w National Galery, w Ermitażu, w Antwerpii, w Hadze? i te wszystkie prywatne galerye niedostępne dla ogółu, a które ja, dzięki moim osobistym stosunkom i stanowisku w świecie, studyowałem latami całemi? Pan kolega jest bardzo uczony, ale ta epoka nie jest jego specyalnością...

— Ależ to Potter! — upierał się przy swojem prof. Dolmeński, łkając głośno.

— To ma być Potter? — ryknął z gniewu profesor Wykoński, chwytając obiedwiema rękami »tabun pędzących koni« i uderzając nim w głowę profesora Dolmeńskiego...

Płótno pękło i obraz zawisł na karku archeologa.

— To ma być Potter? — krzyczał wciąż rozszalały znawca, porywając »pijące konie« i rozbijając je w podobny sposób na głowie smutnego uczonego.

Profesor Dolmeński chociaż ogromny flegmatyk, złapał teraz »konie pasące się na łące«, symbol rezygnacyi według estety Mgielskiego i uderzył zmurszałem płótnem profesora Wykońskiego po głowie, ale tak lekko, że obraz pękając utkwił na nosie, łamiąc przy tej sposobności okulary.

— Dzisiaj się już nie będziemy widzieć, ale jutro się zobaczymy! — wygrażał rywalowi rozjuszony profesor, chowając do puzderka szczątki stłuczonych szkieł. Potem kiwnął mi głową na pożegnanie i wyszedł spiesznie.

— Niech mi pan wybaczy szkodę, jaką panu wyrządziłem — przepraszał mnie

profesor Dolmeński, ale doprawdy miałem już tego zanadto — tłómaczył się, zdejmując przez głowę resztki dwóch obrazów, jakie dotąd na nim wisiały, niby olbrzymi naszyjnik.

Nazajutrz odbył się pojedynek na śmierć i życie między profesorami. Życie zostało przy profesorach, a śmierć przypadła w udziale sekundantom. Obaj padli trupem na miejscu rozprawy. Rzecz dziwna, tak samo brzmiały ich ostatnie słowa, wypowiedziane gasnącemi usty:

»Człowiek strzela...«

Dokończyć zdania żaden nie miał siły.

Najgorzej ja wyszedłem z całej awantury, gdyż po dziś dzień nie wiem, co straciłem: Wouwermanna, Pottera czy Claude Lorraine'a.

JAN CZWARTY KRÓL POLSKI.

Było to przy końcu wojny grecko tureckiej. Mieszkałem podówczas w Konstantynopolu, skąd pisywałem liczne korespondencye pod tytułem: »Z teatru wojny«. W braku faktycznych materyałów posyłałem najrozmaitsze interwiewy ze znanemi osobistościami. Między innymi opracowałem śliczny artykuł dla gazety kieleckiej: »Moja rozmowa z wielkim wezyrem o statutach wiślickich«. Do jakiego dziennika zaadresowałem: »Zdanie Dżelladedina paszy o konfederacyi radomskiej«, każdy domyśli się z łatwością.

Niestety, obie te prace okazały się niecenzuralne i nie umieszczono ich dotychczas.

Ale po co ja właściwie opowiadam te sprawy, nie mające najmniejszego zwią-

zku z dalszym ciągiem mojej opowieści. A prawda, jest jednak pewien związek. Otóż jako korespondent wyrobiłem sobie niezliczone stosunki w najrozmaitszych sferach kosmopolitycznego towarzystwa, jakie się ciągle przewija w nadbosforskiej stolicy. Oprócz wielu innych członków higlifu, poznałem także lorda Trampa, tego samego, z którym później polowałem w okolicach Chartumu na płaczące krokodyle. Lord mieszkał na wspaniałym własnym yachcie.

Pewnego poniedziałku zaprosił mnie poczciwina do siebie na śniadanie (pomimo, że był lordem, poniedziałkował zawzięcie).

Na yachcie zastałem już zgromadzonych moich serdecznych przyjaciół: księcia Sauerland-Elberfeld, księcia Altenkirchen-Olpe i jednego z małych Burbonów wesołego ks. Eugeniusza, któregośmy nazywali »najmniejszym z Burbonów«, albo »dymetyatyzowanym Burbonem«.

Po doskonałym *lunchu* i tradycyjnych trzech robrach bricza (breach) — trzech, gdyż Burbon nie grał, stawiając tymczasem napoleońskiego pasyansa, zaproponował nam gospodarz przejażdżkę po Bosforze.

Pojechaliśmy do Bujuk-dere, jednej z najpiękniejszych dzielnic Konstantynopola, położonej tuż koło morza Czarnego. Wyszedłszy na ląd, pochodziliśmy trochę po wybrzeżu, ale że dzień był skwarny, usiedliśmy wkrótce pod rozłożystym platanem w ogródku greckiej kawiarni, na nizkich zielonych zydelkach, na jakich zmuszone są w tych stronach siadywać najwyżej położone osoby, gdyż innych krzeseł niema.

Na nas pięciu siedzących koło jednego stolika, trzech było książąt i jeden lord. Tylko ja nie posiadałem tytułu. Nosiłem za to na szyi order Białego słonia, który mi dał w upominku (nie bez pewnej złośliwości) król Siamu, w nagrodę za kilka lekcyj mazura, jakie dałem z grzeczności jego synowi.

Atmosfera przepełniona była takimi zwrotami jak: »cher prince vraiment il faut être un ramolli etc.« albo »nein lieber Prinz, Sie sind erst ein echter Trottel«, jednem słowem wyraz *prince* krążył w powietrzu.

Po jakimś czasie zauważyłem, że właściciel kawiarni ciągle kręcił się koło

nas niespokojny, patrząc to na jednego, to na drugiego, jakby pragnął wmieszać się do rozmowy. W końcu grek nie mógł wytrzymać, bo zwracając się do całego towarzystwa zawołał: »Pardon moussié moa ossi siu prinnss«, obchodząc się z francuskim językiem gorzej, niż Spartanin z Helotą.

Wytrzeszczyliśmy na niego oczy.

Pierwszy Burbon przyszedł do przytomności.

— »Tant mieux«, rzekł sucho.

— »Pas Tantmieux siu prinns de Mala Wola siu prinns polonais.

— *Psemata* (kłamstwo po grecku) krzyknąłem.

Grek widocznie tylko czekał na tę uwagę, tak się z niej ucieszył.

— *Psemata kyrie?* — zapytał, uśmiechając się pobłażliwie, a jak panu pokażę dowody, to co? to da pan dziesięć piastrów na szkołę grecką w Bujuk-dere?

— Piękny Polak z ciebie, kiedy zbierasz na szkołę grecką!

— Ja nie mówię, że jestem Polakiem! Ja jestem Grekiem, ale zarazem polskim księciem Mala Wola! — dodał wyniośle.

— Co za Mala Wola do dyabła! To nie polskie nazwisko, możeś ty włoski książe? (Na Wschodzie do wszystkich prawie mówi się przez ty). — No pokazuj swoje papiery!

Grek znikł w budce, w której gotował kawę; po chwili wrócił i oddał mi duży arkusz, ozdobiony szlachecką pieczątką, odbitą na laku. Rozwinąłem papier i czytałem. co następuje:

»My z bożej łaski Jan IV-ty król Polski, Wielki książe Krakowa, Lwowa i Berdyczowa, mianujemy księciem »Małej Woli« (Mala Wola) oraz kawalerem orderu »długie uszy« I kl. pana Aristidesa Nikolaidesa za usługi oddane Naszej osobie podczas Naszego pobytu w Carogrodzie, gdyśmy opuszczeni przez dworzan tułali się za granicami naszego państwa. — Jan IV-ty.«

— O jakich tu usługach mowa? — spytałem Greka.

— Pożyczyłem królowi dwieście franków... kiedy lat temu kilka bawił w Konstantynopolu incognito.

Towarzyszom moim, którzy nie rozumiejąc po grecku, nie wiedzieli o co tu

chodzi, musiałem teraz opowiedzieć całą sprawę.

— *Prince de Mala Wola, vous êtes pas mal volé alors,* zakonkludował najmniejszy z Burbonów, zdecydowany kalamburzysta.

Na szczęście Grek nie zrozumiał tej gry słów. Nie chciałem psuć mu iluzyi. Nie widziałem w tem celu. Tylko odchodząc, wsunąłem mu w rękę zamiast dziesięciu, sto piastrów na szkołę grecką w Bujukdere.

SKUTKI BŁOTA.

Dopiekło mi lwowskie błoto; szczególnie ostatnie przejście, przy którem zwichnąłem sobie życie, dało mi się we znaki.

Nadchodziła epokowa chwila mojej egzystencyi. Niebawem miałem zaprzestać wypełniania meldunkowych kartek stereotypowemi odpowiedziami: osób? jedna — stanu? wolnego — zajęcie? celibat.

Do kamienicy, w której mieszkali rodzice mojej narzeczonej, nie było dojazdu. Powozy musiały zatrzymywać się w bocznej ulicy, odległej najwyżej o 20 kroków. Małą tę przestrzeń wypełniało jednak zazwyczaj grząskie błoto... W dzień mojego ślubu kazałem zrobić naprędce przejście z desek. Na jaki kwadrans, zanim całe towarzystwo miało odbyć po-

chód do karet, wyszedłem, aby spenetrować czy pomost bezpieczny. Uszedłem zaledwie trzecią część drogi, gdy deska, po której stąpałem, usunęła się z kamienia, na którym była oparta, a ja wpadłem obiedwiema nogami w błoto; »ino klupło«, jakby powiedział Sabała. Zamaczałem się przynajmniej na łokieć powyżej kostek. Nie mówiąc nic nikomu o mojej przygodzie, pojechałem do siebie, ażeby się przebrać. Przy pośpiechu i jakiem takiem szczęściu, było teoretycznie możliwe, że się nie spóźnię i wypadek ujdzie niepostrzeżenie, tembardziej, że konie szły bardzo szybko, popędzane przez furmana, od którego kupiłem milczenie i współczucie za ogólną sumę 5 koron.

Niestety w mieszkaniu natrafiłem na szkopuł; nie mogłem w żaden sposób znaleźć zapałek. Dawniej, zazwyczaj, gdzie stąpnąłem, trzask! zapałka sama dawała znać o sobie, a teraz napróżno przeszukałem wszystkie powierzchnie płaskie, a więc biurko, na którem przewróciłem kałamarz, stół, z którego zrzuciłem szklankę i komodę, na której nie zrobiłem żadnej szkody, ponieważ nic na niej nie było.

Nie pozostawało nic innego, jak ubrać się po omacku.

Po chwili byłem gotów i zawinięty w długi paltot, jechałem z powrotem. Po drodze wziąłem na kozioł tragarza, żeby mnie przeniósł przez niebezpieczne miejsce, a gdy wywiązał się nadzwyczaj zręcznie z zadania, kazałem mu czekać w bramie, sam zaś wbiegłem na schody. Naraz płaszcz sięgający mi aż do pięt, odgina się i widzę z przerażeniem, iż zamiast czarnych frakowych spodni, przywdziałem białe pikowe. Przebierając się w zupełnej ciemności i dla pospiechu nie zdjąwszy nawet rękawiczek, nie wiedziałem, co kładę. Białe spodnie same przez się nie mają w sobie nic złego, ale moje były wyjątkowo niemożliwe; na kolanach rozpościerały się dwa serca przebite strzałą, wyhaftowane czerwonym jedwabiem. Była to niespodzianka, jaką mi zrobiła piękna Gaudami, córka radży Trawankoru, u którego polowałem na gazele. Naiwne piętnastoletnie dziecię!

Honny soit qui mal y pense.

Sytuacya była przykra, ale bywałem w gorszych. Niespełna rok tem, wyrzu-

cono mnie zaszytego w worku do Bosforu, z haremu Hassana paszy w Kurutszesme — rzecz prosta, zupełnie niewinnie. Chodziło mi o zmierzenie kąta twarzy pewnej czerkieski, co mi było potrzebne do mojej antropologicznej rozprawy, pod tytułem: »Twarz kobieca jaką była, jaką jest i jaką być powinna — w świetle najnowszych badań«.

Turcy jednak, nie mając najmniejszego poszanowania dla nauki, obeszli się ze mną okrutnie. Na szczęście przypomniałem sobie Monte-Christa, przeciąłem w właściwym momencie worek i przepłynęliśmy śpiewający do Skutari, skąd później uciekłem do Europy.

Więc i teraz nie straciłem przytomności i z zimną krwią wszedłem do salonu. Na mój widok powstał ogólny popłoch, tylko mój niedoszły teść pozostał na stanowisku.

— Co się stało? — spytałem — czy jakie nieszczęście? Może doktora sprowadzić?

— Panie! tak się nie godzi postępować, są delikatniejsze i przyzwoitsze sposoby zerwania! — odpowiedział ojciec mojej narzeczonej głosem uroczystym.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi, ja zupełnie nie myślę zrywać! to jakieś nieporozumienie! ktoś musiał na mnie bajek nagadać! pan zawsze wszystkiemu wierzy! — odparłem z wymówką.

— Pan w dodatku drwi ze mnie? Pan jeszcze dotąd śmie mi urągać swoją obecnością? czy nie parzy pańskiego sumienia ten strój arlekina?

— Aaa! o to panu chodzi, nigdybym się nie domyślił. To przecież najnowsza moda, książę Walii nigdy inaczej nie chodzi na śluby.

— Co mi pan zawraca głowę! Czy ja nie znam zagranicy? Zresztą, dobrze, przystaję na biały kolor, może modny od wczoraj... ale cóż znaczą te serca na kolanach? Tego mi pan nie wytłómaczysz!

— Serca? No, żeby było wygodniej klęczeć, oczywiście! a przytem jest to symbol, od napamiętnych czasów używany.

Traciłem czas na próżno. Widocznie szukano tylko pretekstu do cofnięcia się i skorzystano teraz z okoliczności. Wróciłem na razie do domu i po głębokim namyśle, wyłuszczyłem w obszernym liście rzecz całą. Opisałem z wszystkimi szcze-

gółami moją wczorajszą katastrofę, przyznając się szczerze, że w ostatniej chwili, nie widząc innego ratunku, chciałem nadrobić miną.

Na to otrzymałem następującą odpowiedź:

»Szanowny Panie!

»Jeżeli to, co pan przytacza na swoje usprawiedliwienie, nie jest jakim nowym wymysłem, to wypadek pański dowodzi *primo:* lekkomyślności. — Człowiek poważny nie naraża się na wpadnięcie w błoto. *Secundo:* nieopatrzności. — Człowiek przezorny nosi zapałki przy sobie. *Tertio:* niedołęstwa. — Zapałek można dostać wszędzie, w ostatecznym razie należało zadzwonić na stróża. *Quarto:* posiadając tę nie dającą się opisać odzież, dałeś pan dowód libertynizmu; w czem zresztą nie chcę w niczem ubliżać księżniczce Gaudami. *Quinto:* wchodząc do mnie w takim stroju, dowiodłeś pan swójej bezgranicznej bezczelności. A *sexto*: chcąc wziąć mnie »na kawał« (oho! nie tędy go wiedli! niech co chcą mówią, ja nie taki głupi), dopuściłeś się pan karygodnego zuchwalstwa.

»Przyzna pan sam, że kto tyle wad i narowów posiada, temu dziecka mego powierzyć nie mogę. Z jedynaczką prosić się chwała Bogu nie potrzeba. Życząc powodzenia, odsyłam pierścionek i proszę o wzajemność«.

Taki byłem przygnębiony strasznym ciosem, taki czułem ból i żal niewysłowiony, taką gorycz okropną, że do reszty straciłem głowę i nie wiedząc co robię, zamiast pierścionka, odesłałem kwit zastawniczy.

Z powodu konkurów, kawalerskich pożegnalnych, kilkakrotnych uczt, fundusze moje były mocno nadwerężone, a co ważniejsza i kredyt. Co parę dni nachodzili mnie różni drobni dostawcy, dopytując się natrętnie »jak to będzie z tym rachunkiem?« Dodawałem im otuchy, mówiąc: »jakoś to będzie«, w duszy jednak cierpiałem za nich, bo czułem, że może całkiem nie być, albo być nijako.

W tem strapieniu nadeszła mi całkiem niespodziewana pomoc. Przed szesnastu laty zmarł mój wuj, zostawiając mi skromny legat, sześciu tysięcy guldenów. W czasie postępowania spadkowego suma ta

urosła w dwójnasób wskutek zaległych procentów. Wskutek zaś opłat skarbowych, należytości sądowych i adwokackich kosztów, zmalała do stu siedmdziesięciu ośmiu florenów i trzydziestu czterech centów.

Byłem i z tego bardzo kontent, gdyż od dawna truchlałem, czy mi nie wypadnie czegoś dopłacić.

Muszę wyznać na moją pochwałę, iż stawszy się panem (niezasłużonym ale szczęśliwym) tych kilku groszy, wyrwanych z paszczy państwowego Molocha, pomyślałem nie tylko o sobie i moich wierzycielach... Wierzycieli tak dawno znałem, iż zaliczałem ich prawie do mojej familii, więc troszczenie się o nich byłoby rodzajem egoizmu kolektywnego, a ja byłem altruistą i myślałem o uszczęśliwieniu społeczeństwa.

Plan miałem gotowy od dawna, czekałem tylko na sprzyjające warunki.

Funkcye kamerdynera pełnił u mnie czternastoletni Walek Smoluch. Rola jego ograniczała się na czyszczeniu butów, przenoszeniu śmieci z jednego końca pokoju na drugi, co nazywało się zamiata-

niem i na dostarczaniu mi na każde zawołanie wody. Przez to tak mu woda obmierzła, że sam jej nigdy nie używał, nie pozbawiając się jednak wrodzonej skłonności do nacierania się sadzą.

Temu to Walkowi kupiłem teraz trzy szczotki do czyszczenia obuwia, dwa pudełka czernidła, ścierkę i zydelek. Usadowiłem go następnie na Wałach Hetmańskich w charakterze publicznego czyściciela butów.

Na wypadek, gdyby ludność zachowała się zrazu dla innowacyi chłodno lub nieufnie, przybierając postawę wyczekującą, poleciłem mojego pupila względom starego preclarza, poręczając wypłatę za spożyte osobiście przez mojego ongi (dzięki Bogu) służącego precle.

Rzecz prosta, zastrzegłem sobie prawo cofnięcia poręki każdej chwili, bez poprzedniego wypowiedzenia.

Sądziłem, iż zapewniłem Walka byt, nie wystawiając go na walkę o byt, gdyż konkurencyi nie miał i że równocześnie oddałem niczem nie dającą się zastąpić usługę zabłoconemu społeczeństwu — sam tylko tracąc na czysto.

W parę godzin, dysząc ciekawością, poszedłem zobaczyć, jak się tam mój Smoluch uwija.

Nie zastałem go na posterunku.

— Zbiegł ladaco! — pomyślałem w pierwszej chwili. — A może nie! nie trzeba go zaraz sądzić, pewnie się zmęczył biedaczysko, to pierwszy dzień! i teraz odpoczywa gdzieś w kącie — roboty musiał mieć sporo! — wytłómaczyłem sobie i miałem się cofnąć z Wałów Hetmańskich, które szumiały sobotą, gdy zaszedł mi drogę mój znajomy preclarz. Jak to dobrze mieć rozgałęzione stosunki! Dowiedziałem się na poczekaniu, że Walka spędził policyant i skonfiskował mu szczotki.

W umyśle moim poczęło się roić tysiące przypuszczeń i podejrzeń. Mogła zajść istotnie niejedna ewentualność. Niewprawny Smoluch mógł komuś nadwerężyć nogę, mógł powalać ubranie (prawdopodobnie nawet nie mógł inaczej), szczotki ostatecznie mogły być kradzione — kupiłem je z drugiej ręki — a może czernidło było niehygieniczne? Trzeba wyświetlić tę tajemniczą sprawę!

Poszedłem na policyę. Objaśniono mnie,

że Walek przekroczył, nie pamiętam, który paragraf, przez samo wzięcie się do zajęcia, na które nie miał patentu.

— Zdawało mi się, że wynalazek czyszczenia butów tak dawno zrobiony, że nie potrzeba patentu? — zauważyłem.

— To też nie chodzi o patent na wynalazek, tylko o pozwolenie prokuratoryi skarbu na uprawianie drobnego przemysłu. W tym celu należy wnieść podanie na piśmie, do odnośnej sekcyi — odpowiedział pan komisarz.

Wniosłem podanie w imieniu mojego protegowanego, dla którego trzy krzyżyki stanowiły alfę i omegę pisarskiego kunsztu.

Po dwóch tygodniach otrzymałem nakaz płatniczy na sumę trzech koron. Myślałem, że zaszła pomyłka przy wypłacie mojego legatu i że wypadnie teraz wrócić część pieniędzy tak szczodrze mi przyznanych. Byłem w błędzie. Pan radca Szykański zapewnił mnie o absolutnej nieomylności urzędów wogóle, a specyalnie skarbowego. Tylko »strony« się mylą, a mylą się najczęściej, nachodząc wysokiego urzędnika konceptowego, który ze

»stronami« nie powinien mieć nic do czynienia, tak jak maszynista prowadzący pociąg z pasażerami; dla stron są manipulanci, stanowiący drabinę hierarchiczną między wyżyną — złotym kołnierzem, a padołem — publicznością.

— Ma pan radca słuszność — odrzekłem — musi być nudnem zajmować się bagatelkami, ale jak mi mówił mój przyjaciel minister N., najlepiej zawsze mieć do czynienia z głową, a nie z nogami, dlatego udałem się do pana.

Była to istotnie genialna myśl przyznać się do znajomości ministra N., którego nigdy w życiu nie widziałem, bo pan radca stał się naraz zupełnie innym człowiekiem, gładkim i słodkim, jakby go kto posmarował miodem i masłem.

Skorzystałem z tego zwrotu, aby dokończyć rozpoczętą rozmowę.

— A zatem pan radca jest pewny, że nie o spadek chodzi? O cóż więc?

— Cyfra trzy, często się w urzędach powtarzająca, każe się domyślać, iż chodzi o pominięcie stempla przy podaniu.

— To stemple takie teraz drogie?

— Stempel na podanie kosztuje pięć-

dziesiąt centów, ale kto go nie przyklei, musi zapłacić trzy razy należytość.

— A to dziwne! Za list nie frankowany płaci się tylko podwójną taksę. Nie rozumiem, doprawdy, tej proporcyi, przecież ominięcie stempla nie jest usiłowaniem oszustwa, więc nie ma racyi karać, jak np. za przemycanie... Jest to tylko nieświadomość, chyba, że państwo uważa to za obrazę.

— O obrazie niema mowy! — uśmiechnął się radca.

— Ostatecznie posądzenie państwa, że jakiś »kawałek« nieurzędowy załatwiony będzie za darmo, możnaby uważać za obrazę...

Radca przestał się uśmiechać.

Wyłuszczyłem mu teraz w krótkości genezę moich odwiedzin i tak dalej mówiłem:

— Dobrze, zapłacę te trzy korony, zwłaszcza kiedy mnie pan zapewnia, że nakaz płatniczy i egzekucya — to rodzeństwo, idące z sobą w zgodzie, ale czy mogę być pewnym, że sprawa będzie pomyślnie załatwioną?

— Za to ręczyć nie mogę. My mamy

tylko prawo *veto*, możemy się sprzeciwić albo nie sprzeciwić, ale pozwolenie zależy od innej władzy.

— Od jakiej zatem władzy?...

— W pierwszym rzędzie od magistratu. Magistrat reprezentuje miasto, będące jak pan wie właścicielem wolnych placów. Protegowany pański, choćby był mały jak chrabąszcz, zawsze jakąś przestrzeń sobą zajmuje i będzie prawdopodobnie musiał za nią zapłacić dzierżawę. Po magistracie ma słowo policya, która pilnuje porządku w mieście i musi wydać petentowi świadectwo moralności; dalej idzie wojskowość, mogąca się sprzeciwić ze względów strategicznych okupacyi Wałów Hetmańskich przez czyściciela butów. Potem władze sanitarne muszą mu wystawić świadectwo szczepienia ospy, a w parafii powinien się wystarać o metrykę. Kraj także może się ze swej strony sprzeciwić, lecz dopiero potem, jeżeliby odmówił dostarczania danych statystycznych.

— Wobec tego rezygnuję z mojego projektu, żal mi nietylko Smolucha, ale także i tych licznych przechodniów, któ-

rzy niekiedy pół mili muszą iść do domu, żeby zmienić trzewiki; niewiadomo doprawdy co robić we Lwowie w sezonie błota?

— Wskażę panu wyborny sposób: jeździć powozem, albo nosić kalosze! — zaśmiał się znowu radca.

— Dziękuję panu za radę i do widzenia.

W przedpokoju błyszczała para wysokich nowiuteńkich kaloszy.

— Czy to pana radcy Szykańskiego? — zapytałem woźnego.

— Tak jest, właśnie ze sklepu przynieśli, deszcz zaczął padać i pan radca kazał kupić.

— Jak ulał na mnie! — wykrzyknąłem uradowany, kładąc na nogi czarny kauczuk, wobec oniemiałego woźnego. — Proszę się kłaniać panu radcy i powiedzieć, że jak tylko będzie sucho zaraz odeślę.

ODPOWIEDŹ HYGIENIŚCIE.

Jakiś trzechletni Lolo pocałował dra N. N. w rękę. Fakt ten dał owemu panu asumpt do napisania piorującego artykułu przeciwno zwyczajowi całowania rąk.

Pod pewnym względem możemy szanownemu autorowi przyklasnąć. Każdy trzechletni Lolo ma nos wilgotny (podobny objaw zauważyli przyrodnicy u zdrowego psa, u cielęcia, żyrafy i hyeny); jest więc rzeczą dosyć niemiłą wejść z Lolem w bliższy kontakt choćby tylko ręką; dla tego powinniśmy się stanowczo sprzeciwiać wszelkim czułościom Lolów. Zgoda! Inna rzecz jednak, gdy sami odgrywamy rolę aktywną i gdy w grę wchodzą owe ręce, które wszyscy znamy: pulchne, białe z cienkimi, liljowymi prążkami, opatrzone na końcu pięciu ruchomymi wałecz-

kami *(digiti feminarum* w medycynie) i blaszkami z perłowej masy w kształcie migdałów. Takie ręce są zazwyczaj aseptyczne, zlewane obficie wodą i wódką kolońską, nie przechowują ani śladu szkodliwych bakteryj. A choćby i znalazło się na na nich parę niewinnych laseczników, to znajdują się one i w powietrzu; więc dla czegoż nie mamy ich zjadać z ręki? Wszak jadanie z ręki jest jedną z cech oswojonych stworzeń. Trudno dla fantazyi, choćby najuczeńszego lekarza, zrzekać się na raz cywilizacyjnego dobytku, na który się wieki składały.

Gdyby całowanie rąk było istotnie tak szkodliwe, jak to twierdzi dr. NN., zachowałyby się o tem ślady w historyi. Tymczasem, przewertowawszy całą wielką encyklopedyę Larousse'a, nie znalazłem ani jednego wypadku, nie mówię śmierci, ale nawet lekkiego zasłabnięcia z powodu tego uświęconego tradycyą i ludzką skłonnością zwyczaju, ani w starożytności, ani w średnich wiekach, a tem mniej w nowożytnych czasach. Natomiast dowiedziałem się, że czterech panujących zmarło w skutek przejedzenia się melonem... By-

łoby więc daleko odpowiedniejszem, żeby dr. N. N. wystąpił przeciwko jedzeniu melonów. Jagiełło umarł, przeziębiwszy się, słuchając słowików; dlaczego żaden podręcznik hygieny nie wspomni, że w starszym wieku nie należy słuchać słowików?

Mógłbym zacytować cały szereg przykładów, że całowanie rąk nietylko nie jest szkodliwem, ale i owszem może służyć jako środek toniczny *(confortativum)*, nie czynię jednak tego ze względów hygienicznych. Moje przykłady są bardzo wesołe, a Aretino umarł z powodu zbytniego śmiechu, więc się obawiam szkodliwych następstw dla czytelników. Dodam tylko, że obojętnem jest, czy nasza działalność tyczy się *generis puellarum*, czy też *matronarum juvenilium*. W tym ostatnim jednak wypadku należy przedsiębrać zabieg, jeżeli zbyt częsty, dla wszelkiego bezpieczeństwa, *in absentia mariti*.

Czytelnicy darują te obce techniczne wyrażenia, ale w kwestyach naukowych musimy się niestety jeszcze ciągle posiłkować łaciną; brak nam słownictwa swojskiego.

Co do całowania przez rękawiczkę,

zgadzam się w zupełności na zdanie dra N. N. i innych powag lekarskich, że jest to często nie przyjemnem, a w każdym razie przeciwne naturze rzeczy, ale jak mawiał pewien cierpliwy asceta: »dotykamy wargami rękawiczki, aby gdy stosowna chwila nadejdzie, zasłużyć na ucałowanie jej zawartości. *Per aspera ad astra*«.

Jest jedna forma całowania rąk, o której dr. N. N. całkiem nie wspomniał, całowanie przez przenośnie, będące u nas na porządku dziennym: »Całuję rączki«... A jednak to właśnie całowanie, na pozór niewinne, może być czasem niebezpieczne. Mógłby o tem coś powiedzieć pewien kupiec, u którego kupiłem sobie wczoraj parę rękawiczek (numer dziesięć i pół), a który, gdym odchodził, pożegnał mnie słowami: całuję rączki.

Naturalnie, wziąłem to za żart wcale nie na miejscu, przyszło między nami do bardzo ostrych przymówek, skutkiem czego, pękła mi rękawiczka z prawej ręki i musiałem sobie drugą parę kupić, rozumie się, w tym samym sklepie.

Podobne zdarzenie miał parę dni temu

mój przyjaciel kapitan X. w sklepie z obuwiem, gdzie sobie kupił jeden but, do jedynej nogi jaką posiada. Szewc na odchodnem powiedział:

— Padam do nóg.

Kapitan człowiek prędki (po wszystko biegał na jednej nodze) krzyknął na szewca:

— Do nogi panie! Do nogi!

O to szewc się obraził, utrzymując, że go kapitan traktuje jak psa.

Sprawa oparła się chwilowo o sądy, a niebawem ma być wniesioną w parlamencie interpelacya o poniewieranie ludności cywilnej przez wojsko.

Z tego, co tu przytoczyłem, wynika to, coby powiedział Cicero: *non oscula, sed verba in labris nascentia, delenda sunt* (nie pocałunki, lecz słowa, na wargach rodzące się, trzeba zniweczyć).

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

Nazwisko Śladowieckiego nie było mi obcem. Jeszcze kilkanaście lat temu czytywałem jego korespondencye we wszystkich niemal polskich dziennikach. Podziwiałem je: nie dla tego, aby były zajmujące, ale dla ich niesłychanej rozciągłości. Pan Śladowiecki, mieszkając stale we Lwowie, potrafił każdego tygodnia i to w sezonie ogórkowym, porozmieszczać po różnych pismach dziesięć, czasem dwadzieścia korespondencyj. Trzysta, czterysta wierszy napisać od jednego zamachu było dla niego drobnostką. Celował w pisaniu o niczem. Po przeczytaniu jego artykułu wiedziało się to samo co przedtem. Pisać o niczem! To mi imponowało. Nie sztuka pisać, jak się coś wie, to byle Cicero potrafi. Ale z niczego wykuć

kilka setek wierszy, oto kamień probierczy dziennikarskiego talentu.

Wyjechałem na drugą półkulę. Z literaturą ojczystą zerwałem stosunki; tylko Sienkiewicza czasami czytywałem, rzecz prosta, w japońskiem tłómaczeniu. Gdy po wielu latach powróciłem do kraju, pierwszą polską książką jaką na granicy Galicyi w kolejowej księgarni spostrzegłem, była historyczna powieść Śladowieckiego: Chorążyna Zakroczymska. Przyjechałem do Lwowa, przechodzę ulicą Karola Ludwika, przyglądam się wystawom księgarskim, nic tylko — Śladowiecki, Śladowiecki i Śladowiecki... *Neminem captivabimus* powieść historyczna w 4 tomach. Starosta Stopnicki 2 tomy. Żelazny wilk 3 tomy. Trylogia: Rok 1705 — Laudon — Śmierć Kaunitza — powieści obyczajowe Byłbymbył, Grynszpan etc.

W moich podróżach zawadziłem także o Stany Zjednoczone północnej Ameryki. Nie miałem, co prawda, do Yankesów najmniejszego interesu, chciałem się tylko osobiście przekonać, czy Ameryka wogóle istnieje, bo ostatecznie mógł być to tylko zwykły humbug.

Pomimo, iż w Ameryce zabawiłem tylko dziesięć dni, stałem się zupełnie innym człowiekiem — nie powiem, jaki byłem dawniej, to do rzeczy nie należy — ale teraz ze wszystkiego robiłem *bussines*. Zobaczywszy więc, jak obliczyłem, sto trzydzieści kilogramów powieści Śladowieckiego w oknie księgarni, wszedłem do niej i po nabyciu kalendarzyka ściennego za dziesięć centów, przejrzałem trzydzieści tomów powieści. Naturalnie, nie kupiłem ani jednej. Żal mi było księgarza, który się dobrze namozolił, więc starałem się go pocieszyć, obiecując solennie, że jutro wrócę, i prosiłem, aby wszystkie te książki, które obejrzałem, dla mnie odłożył. Dla zyskania zupełnego zaufania zapytałem się o adres najlepszego introligatora we Lwowie.

Z księgarni wyruszyłem prosto na telegraf i zadepeszowałem do *New York Heralda: New polish genius Sladowiecki, second Sienkiewicz, will you interview?* (Nowy polski geniusz, drugi Sienkiewicz, czy chcesz pan mieć interview?) W kilkanaście godzin otrzymałem lakoniczną odpowiedź: *Yes*. Posłałem więc natych-

miast fonogram: Ameryka chce poznać mistrza, proszę o parę minut rozmowy. — Wielbiciel.

Niebawem dostałem uprzejme zaproszenie: Jutro o piątej popołudniu oczekuję szanownego pana u siebie.

Stawiłem się punktualnie na oznaczoną godzinę... Rosły mężczyzna, lat około pięćdziesięciu, wykwintnie ubrany, starannie ogolony i ufryzowany, *un vieux beau* wstał na moje powitanie.

— Czem mogę panu służyć? — zapytał.

— Przychodzę na żądanie *New York Heralda* zebrać trochę szczegółów o pańskim trybie życia, o arkanach pańskiej twórczości, o... o tem, co pan myśli o Amerykanach...

— A! dowiedziano się i o mnie w Ameryce? Bardzo mi to pochlebia, bardzo — mówił z widocznem zadowoleniem — hm! cóż ja panu powiem o trybie mojego życia? — ciągnął, chowając pospiesznie kilkanaście fotografij kobiecych, porozstawianych na biurku, do szuflady. — Pracuje się, kochany panie, bardzo się pracuje. O godzinie 7-mej wstaję, o 8-mej już siedzę przy biurku i piszę do połu-

dnia powieści historyczne. Popołudniu od 3 do 5 pisuję zwykle powieści obyczajowe, albo artykuły dziennikarskie, najczęściej krytyki. Teraz u nas zapanowało ogromne rozluźnienie w belletrystyce, wprost zgroza! Nam starszym trzeba czuwać na strażnicy obyczajów, bo bez moralności, panie, żadne społeczeństwo ostać się nie może. Amerykanie podobno bardzo moralni, czy tak?

— O tak! nadzwyczajnie moralni! — potwierdziłem, przyrzekając sobie w duchu zajrzeć przy najbliższej sposobności do Lexikonu dla poinformowania się w tej sprawie.

— Niech im pan powie, że ja bardzo Amerykanów cenię za to.

— Bardzo chętnie, wyobrażam sobie, jak się tem ucieszą; a czy mogę dodać, że gdyby pan nie był Polakiem, to chciałby pan być Amerykaninem?

— Ależ naturalnie, to mi pan z ust wyrwał.

— Ale co pan robi po piątej? — indagowałem dalej z niedyskrecyą wrodzoną reporterom.

Widocznie pytanie zakłopotało mojego

interlokutora, bo się namyślał, jakby chciał sobie przypomnieć o swojej działalności po piątej.

— Po piątej odpoczywam, kręcę się trochę między ludźmi, muszę przecież poznać życie, zetknąć się z niem, kiedy pisuję powieści, nieprawdaż? Zresztą bardzo wczas chodzę spać, chyba, że coś nadzwyczajnego wypadnie...

— Pan musiał zapewne przechodzić jakąś kampanię, może jako ochotnik w legion étrangère, tak pan doskonale opisuje bitwy, ruchy wojska, marsze, szarże...

— Ależ! gdzie tam, nawet nigdy w wojsku nie byłem, to zupełnie niepotrzebne. Widuję tu we Lwowie bardzo często musztrę, byłem dzień jeden na manewrach w Jarosławiu, to mi wystarcza, resztę robi intuicya. Intuicya panie, to podstawa twórczości, podstawa prawdy dziejowej, podstawa psychologii! Bez intuicyi ani rusz, z intuicyą na wszystko można się porwać.

— Jakie ze swoich dzieł uważa pan za najlepsze?

— Wie pan, ja wszystkie moje powieści bardzo lubię, przyznam się otwar-

cie, ale tak najlepiej, najlepiej to mi się udała »*Neminem captivabimus*«, pisałem ją parę lat temu pod tym oto portretem mojej córki, jej winienem natchnienie! Tak, to mój najlepszy utwór.

Spojrzałem w górę: prześliczna główka blondynki o cudownych niebieskich oczach uśmiechała się z portretu.

— Tak, to najlepszy utwór — powtórzyłem machinalnie. Nastała chwila uporczywego milczenia. Rozglądałem się po pokoju, szukając oczami jakiegoś przedmiotu, któryby mi posłużył za wątek do rozmowy. Naraz wzrok mój padł na duży kosz, wypełniony po brzegi rękawiczkami, z dziur wystawały pióra od kapeluszy.

— Powinszować panu! powinszować — wykrzyknąłem prawie, chwytając mistrza oburącz za prawicę i potrząsając nią silnie.

Powieściopisarz zmieszał się.

— Czego mi pan winszuje? — zapytał, patrząc ze zdziwieniem to na mnie, to na portret, to na swoją bibliotekę, złożoną z własnych dzieł.

— Pracy panu winszuję — powiedziałem z zapałem — oprócz powieści fa-

brykuje pan także damskie rękawiczki! To jest bardzo po amerykańsku, *very, very american!* muszę to opisać — i zacząłem skwapliwie notować...

Mistrz na chwilę oniemiał. Gdy przyszedł do siebie, położył rękę na moim notesie.

— Nie pisz pan, proszę pana, to nieporozumienie, upewniam pana, ja nigdy rękawiczek nie robiłem, to te panny, które moje rękopisy przepisują... czasem która rękawiczki zapomni... i tyle się uzbierało...

— A pióra z kapeluszy? — przypierałem do muru powieściopisarza — pewnie te panny spierają się czasem o pańskie manuskrypta?

— Pióra? Zaraz panu wyjaśnię: jak się stalówka popsuje, wyciągają pióro z kapelusza i tem piszą dla pośpiechu. Zresztą doprawdy nie warto o tem mówić. Ot lepiej przeczytam panu jaki ustęp z powieści, nad którą teraz pracuję. Jestto opis wojny trzydziestoletniej, godzina po godzinie panie! Już nasmarowałem dwa tysiące dziewięćset siedm-

dziesiąt arkuszy, doszedłem dopiero do 1632 r., a więc do bitwy pod Lützen.

— Pewnie pan zebrał dużo materyałów do obecnej pracy?

— Naturalnie! mam opis trzydziestoletniej wojny Schillera i... i... dużo, bardzo dużo innych prac. Może panu przeczytać jaki ustępik? Zwracam pańską uwagę, iż ogromnie się starałem o zachowanie miejscowego kolorytu.

— Jeżeli pan taki łaskaw, to byłbym panu niesłychanie wdzięczny za przeczytanie tak n. p. bitwy pod Lützen.

— Pan chyba żartuje, tobyśmy nie skończyli do północy, mogę panu przeczytać jeden epizod, śmierć Gustawa Adolfa; robię pana jeszcze raz uważnym na koloryt lokalny...

— Słucham pana, tem chętniej, że i w mowie używa pan zwrotów czysto lokalnych.

»Wśród gęstej mgły, tumany kurzu pokryły widnokrąg. Huk dział mieszał się z tętentem pędzących spienionych koni i chrzęstem oręży, w jeden przeraźliwy, ogłuszający ryk... Zdawało się, że piekło zstąpiło na ziemię i, że wkrótce

tę dyszącą masę powalonych koni, jęczączch jeźdźców, zagwożdżonych armat, połamanych brzeszczotów, pogiętych pancerzy, pochłonie jakiś nie ziemski ogień... takie to było straszne, ziejące śmiercią i krwawe.

»Gustaw Adolf, odziany w żółty, łosiowy kaftan, w ogromnych, wypukłych okularach na nosie, które dla krótkiego wzroku zawsze nosił, pędzi naprzód, prowadząc do ataku kirasyerów smalkaldzkich...«

— Przepraszam pana, że przerywam, ale przy krótkim wzroku używa się wklęsłych szkieł.

— Czy pan na seryo mówi?

— Zupełnie na seryo; jeżeli pan nie wierzy, niech pan obejrzy moje okulary, ja mam wzrok krótki...

— A! prawda. Dziękuję panu za uwagę, krytycy gotowiby się przyczepić do tej małej niedokładności. Na czemeśmy stanęli?

— Na kirasyerach smalkaldzkich.

»Koń ponosi króla, któremu strzał zdruzgotał rękę, król chce powrócić, ale godzina przeznaczenia wybiła. Otoczony

przez wojsko Wallensteina, pchnięty kilkakrotnie szpadą, upada na ziemię zwycięzca z tylu bitew, ojciec Krystyny... spłoszony koń wraca do obozu bez jeźdźca... »Król nasz nie żyje«, wyrzekł ponuro osiwiały w bojach pułkownik Thure Brand.

»Król nasz nie żyje« powtórzył z rozpaczą w głosie młodziutki Axel Key, porucznik gwardyi królewskiej..... Król umarł, jęknął oszalały z bolu siłacz nad siłacze, Herman Ling i połamał z gniewu olbrzymią armatę, z taką łatwością, jakby chodziło o zwykły leszczynowy pręcik. »Pomścijmy go«, wykrzyknęli artylerzyści norwegscy: Ibsen i Nansen. Wnet waleczna gromada dosiadła rumaków i ruszyła w szalonym galopie naprzód, śpiewając ulubiony narodowy, szwedzki hymn:

Säkerhets tändstickor
utan svafel och fosfor
Paraffinerade.

MOJA KORESPONDENCYA
Z UNIWERSYTETEM W REYKJAWIK.

Kto z nas nie marzył za młodu o dalekich podróżach, o łowach pełnych wrażeń w dziewiczych lasach Ameryki, u źródeł Nilu, lub w zaroślach Gangesu. W czasie gdy nauczyciel wykładał nam kiedy się używa *ablativus absolutus* lub o potencyale elektrycznym, myśmy w najlepsze bądź zabijali tygrysa z butelki lejdejskiej, bądź wykłuwali oko krokodylowi parasolem (dwa doskonałe choć mało dotąd używane sposoby polowania), bądź też zakładaliśmy nadzwyczaj chytre pułapki na nosorożca, na to zwierzę, jak mówi podręcznik zoologiczny, »łagodne, chociaż łatwo wpadające w rozdrażnienie«.

Z biegiem lat jednak, gdy coraz to

nowe widnokręgi działalności i używania przedstawiają się dorastającej wyobraźni, w innym kierunku szybują nasze myśli. Kto pragnął świat objechać, zadawalnia się zwykle krążeniem koło jego połowy. Kto w uwielbieniu dla Napoleona wybierał się na wyspę św. Heleny, gdzie jak mówi znowu pewien podręcznik geograficzny, »zmarł po burzliwem życiu niejaki Bonaparte, mieniący się czas jakiś cesarzem Francuzów«, zrzeka się wyspy i świętej, poprzestając na trzecim wyrazie lub na imieniu podobnem.

Kto zaś zawsze gotów był do wykonania swoich pierwotnych planów, w kim zapał nie ostygł i przyzwyczajenia sybaryty nie odebrały rzutkości, najczęściej musi powtarzać sobie z Michałem Aniołem: »Sztuka nieposłuszna chęci«, albo nie wiem już z kim: »Radaby dusza do raju« i siedzi na miejscu, jak pierwszy lepszy kamień, z tą różnicą, że nie obrasta.

Ja również byłbym dotąd nie odbywał dłuższych podróży, gdyby nie list dr. Singelsena, rektora oraz profesora wszech nauk ścisłych, obojga praw, medycyny i teologii a zarazem sekretarza i pedela

w jednej osobie, nowozałożonego uniwersytetu w Reykjawik w Islandyi.

Uniwersytet składający się z czterech fakultetów, trzech studentów i wyżej wymienionego ciała nauczycielskiego rozporządzał bardzo skromnymi środkami. Dość powiedzieć, że gabinet fizyczny składał się z rozbitego termometra i grundwagi; chemiczne laboratoryum oprócz seidlickich proszków i pudełka szwedzkich zapałek (dar chłopca okrętowego) nie posiadało innych substancyi.

Najpokaźniejsze było muzeum zoologiczne, zawierające kilkanaście gatunków suszonych ryb.

Niestety żądna wiedzy młodzież, której dzielnie dopomagało gremium profesorów, zużyła wkrótce te zbiory, zamieniając je własnemi siłami na osteologiczny gabinet.

Pomimo ciężkich warunków rozwoju tej prawdziwej *almae matris* islandzkiej, rektor Singelsen chciał utrzymać swoją szkołę na europejskiej stopie, co mu zresztą nie przeszkadzało chodzić samemu boso...

Tą myślą się kierując, wysłał do mnie bardzo pochlebne pismo, w którem, nazwawszy mnie »nadgeografem« i »pierw-

szym uczonym całego świata«, »ogrzewającym golfstromem wiedzy«, prosił o dokładniejsze wiadomości o dzisiejszym stanie Galicyi.

Informacye te miał zużytkować do swoich wykładów profesor Singelsen. Sekretarz Singelsen obiecał mi wypłacić honoraryum za moje trudy w wysokości połowy kosztów opłaty pocztowej, na jakie byłem wystawiony, wysyłając odpowiedź. Za sekretarza poręczali rektor Singelsen i profesor Singelsen, a jako świadek podpisał akt pedel Singelsen.

Oto moja odpowiedź:

»Do prześwietnego senatu i administracyi uniwersytetu w Reykjawik«.

A niech was wciurności! jakiego wy macie niucha, moi panowie, żeście się do mnie zwrócili. Kto inny przysłałby wam całe stosy zadrukowanej bibuły, mapy, wykazy statystyczne, opisy podróży, najrozmaitsze podręczniki, a ja jako mieszkający o dwie mile od Wieliczki, (której nie znam), mam na szczęście zwyczaj brać wszystko *cum grano salis*. Nie wierzę drukowanemu słowu na słowo, opierać się przeto będę w moim opisie na

własnych długoletnich spostrzeżeniach. Oprócz tego wybrałem się specyalnie dla was w podróż wywiadowczą po Galicyi, pociągiem osobowym, trzymając się w tem wiernie mojej wypróbowanej metody geograficznych badań.

Mogę was teraz z całą szczerością zapewnić, że wszystko prawie, co o tym kraju dotąd pisano, jest po prostu wierutnem kłamstwem. Jedynie co do klimatu nie mogę rozstrzygać, bo to jest kwestya osobistego zapatrywania. W podręcznikach nazywają nasz klimat umiarkowanym. Mam ogółem pięciu przyjaciół, którym odpadły nosy skutkiem odmrożenia, szesnastu z moich znajomych skończyło na porażenie słońcem, a mnie samemu grad odbił ucho, ale to z mojej winy, bo wyszedłem nieostrożnie z domu w czasie sezonu gradowego, t. j. między majem a wrześniem. Sądźcie więc w tym wypadku sami, a co do reszty możecie z całem zaufaniem na mnie polegać.

Powszechnie głoszą, że Galicya liczy 91 mieszkańców na jeden kilometr kwadratowy. Otóż, jak obliczyłem, wypada u nas na tę przestrzeń 1.200 ludzi. Do-

szedłem do tego wniosku bardzo prostym rachunkiem: Ponieważ w Belgii przypada przeszło dwieście mieszkańców na jeden kilometr, a równocześnie w jednym przedziale jedzie najwyżej pięciu Belgijczyków, u nas zaś trzydziestu pasażerów stale zajmuje takie samo miejsce w wagonie, a więc oczywiście kraj nasz jest zaludniony sześć razy gęściej, niż Belgia.

Zdarzy się wam pewnie nie raz czytać, że Galicya produkuje różnego gatunku zboża, owoce, nabiał, placki szewskie, świnie, pierniki, kiełbasę i karpie z polskim sosem; jest to bezczelna kalumnia, rzucona na naszą ascetyczną prowincyę. Wierzcie mi, nic podobnego nie znamy. Moi panowie, jechałem dzień cały z Trzebini do Czerniowiec i znalazłem wszystko w porządku, nic tylko »świeża woda«.

Posądzając ludność naszą o hypokryzyę, wypytywałem umyślnie, czybym nie mógł dostać szarańczy z miodem lub trochę korzonków i muszę zaświadczyć na chlubę mieszkańców Galicyi, że nigdzie nie spotkałem tych oznak łakomstwa. Pustelnicy Tebaidy byliby zbudowani naszym trybem życia. Nawet po okrzyku »Świeża

woda« może podróżny odrazu poznać, że jest już w Galicyi. Prawdopodobnie z powodu przesycenia się świeżą wodą domagamy się teraz suchej granicy od strony Węgier.

Język nasz nie jest wcale słowiański. Ma wprawdzie trochę słowiańskich naleciałości ale składą się przeważnie z germańskich i romańskich źródłosłowów.

Nawet takie słowa jak: sztyflety, überzieher, pudermantel, zugsführer, mentecaptus, funkcyonaryusz, weksel, krach i plajta, pomimo wielu narodowych pierwiastków nie są nasze swojskie jak utrzymują lingwiści.

Równie źle znaną jest psychologia naszego narodu, którego kłótliwość weszła w przysłowie. Doprawdy śmieszny zarzut... Spytajcie na próbę redaktorów ośmiu dzienników, jakie w naszej stolicy wychodzą, ile z tych gazet jest niepotrzebnych? Ręczę, że wszyscy odpowiedzą zgodnie: siedm.

O stanie ekonomicznym kraju krążą także niedokładne wieści. Skarżymy się na brak kapitałów, tymczasem są u nas kapitały. Można się o tem z łatwością

przekonać, wchodząc do pierwszego lepszego banku. Wszędzie brzęk złota i rozkoszny szelest papierków, aż miło się robi na duszy. Są u nas kapitały — powtarzam — ale źle rozmieszczone.

Pomawiają nas w końcu całkiem bezpodstawnie o brak znajomości sztuki, chociaż niema miejsca na kuli ziemskiej, gdzieby tylu ludzi żyło tylko czystą sztuką, co u nas.

W czasie mojej podróży kupiłem sobie dziennik, muszę was ostrzedz przed tymi rozsadnikami wszelakiej blagi. Czy dacie wiarę, że w tej samej gazecie na jednej stronie redaktor żali się na brak fachowych i uzdolnionych ludzi, a na drugiej fakta zadają kłam temu twierdzeniu, wypowiedzianemu na wiatr z iście dziennikarską lekkomyślnością. Posłuchajcie ogłoszeń, będących jak wiecie zwierciadłem społeczeństwa:

»Rutynowany zamiatacz ulic o nieskazitelnym charakterze poszukuje zajęcia, zgodzi się na najskromniejsze honorarym.

»Inteligentna pomywaczka, mogąca się wykazać poważnemi referencyami, obejmie natychmiast posadę na jakiembądź

piętrze. Oferty uprasza nadsyłać p. r. pod godłem »Czystość«.

»Poszukuje się zdolnego palacza, praktykanta do obsługi kilku pieców. Ukończeni technicy mają pierwszeństwo«.

Wobec tego przeludnienia Galicyi i wobec hyperprodukcyi zdolnych i fachowych ludzi, nie dziwujcie się, jeżeli się niebawem u was pojawię w Islandyi.

A teraz kreślę się sługą JWgo Pana, Rektorze Magnificencyo Singelsenie; załączam wyrazy wysokiego poważania dla pana szan. panie profesorze Singelsenie; pozdrawiam pana, panie sekretarzu Singelsenie; trzymaj się ciepło, pedelu Singelsenie.

WYPADEK W ALPACH.

Lato daje się nieraz ciężko we znaki dziennikarzom, nietyle z powodu obowiązku ślęczenia nad kałamarzem przy trzydziestu stopniach gorąca, bo temu łatwo zaradzić, ochładzając atrament lodem, ile dla braku tematów. Parlament na wakacyach, sejm na wakacyach, sąd na wakacyach, wszyscy wielcy ludzie rozproszeni to po wsiach, to po górach, to po morzach; nic się nie dzieje ważnego, a gdyby się nawet coś nadzwyczajnego stało, to znowu nikomu się nie chce tego spisać i przesłać pod właściwym adresem.

Już trzecia wybiła, a o szóstej jak zwykle miał wyjść »Przegląd wszechświata z przyległościami«, dziennik, którego byłem redaktorem, a brakło mi jeszcze całej stronicy do zapełnienia numeru.

— Możeby pan napisał coś o ruchu karlistycznym w Hiszpanii? — namawiałem mojego współpracownika, dra Fil. Poradzkiego.

— Dopiero wczoraj było, nie pamięta pan?

— Nic nie pamiętam. No to przenieśmy Karlistów do Portugalii, albo jak pan woli do Francyi.

— Tego bym nie radził, gotów się kto poznać, pisma nie wolno kompromitować, chyba, że już sprzedane a ma się założyć inne.

— Ma pan racyę, ma pan wielką racyę, ale co pisać? Niech pan poradzi i napisze, bo ja doprawdy nie jestem teraz w stanie trzech wierszy skleić, taki jestem zdenerwowany tem, że numer dotąd nie złożony. Jak mucha przeleci w drugim pokoju, to przez cały tydzień nie mogę myśli zebrać, a cóż dopiero, jak czuję, że tam pod drzwiami ktoś czeka na rękopis. Mam myśl! niech pan napisze o wyprawie do bieguna, wszystko jedno jakiej, byle nazwiska podróżników kończyły się na »sen«. Ma pan tu atlas, czego pan więcej chce? Widzę, że panu nie bardzo się uśmiecha

moja propozycya? No, to może poszukać w koszu? Sądzę, że przecież coś się znajdzie nie zupełnie niemożliwego między amatorskiemi pracami? W każdym razie zyskamy jednego prenumeratora więcej.

Dr Poradzki ożywił się.

— To niezły projekt — zauważył. — Jabym go jeszcze rozwinął. Umieśćmy urywki z wszystkich rękopisów, jakie do nas wpłynęły w przeciągu miesiąca: zyskamy tysiąc prenumeratorów! Lepiej panu powiem — dodał zapalając się w miarę, jak mówił — ogłośmy, że każdy nowo przystępujący prenumerator, rozumie się roczny, opłacający abonament z góry, będzie miał prawo do umieszczenia w naszem piśmie czternastu wierszy, na honorowem miejscu, nie w ogłoszeniach, a zyskamy dziesięć tysięcy prenumeratorów! Co? dobry pomysł? co?

— Doskonały! pomówimy o tem kiedyindziej, ale teraz niema na to czasu. Pisz pan na miłość boską, pisz pan, co pan chcesz! ale pan pisz.

Nie byłoby mojej stronicy, ręczę, żeby nie było, bo dr. Poradzki, wyczerpany widocznie kombinacyami na przyszłość, wy-

ciągnął się najspokojniej na sofie, przyłożywszy do skroni chustkę z zimną wodą. Widząc to, już byłem zdecydowany dać taką mniej więcej szatę mojemu artykułowi:

»Polemikę niniejszą skonfiskowałaby bez wątpienia prokuratorya, dlatego sami skreślamy najważniejsze ustępy.

Precz z . . . .
. . . .
Dosyć mamy tych . . . .
. . . .
A więc . . . .
Niech już raz . . . .
. . . .
. . . Przy takiem postępowaniu . .
. . . . pytanie
. . . .
Zapomina . . . .
. . . .
Summum jus summa . . . .
. . . . Dokądże . . . . . .
. . . . Pamiętajcie!
. . . . . niech nikt . . . .
nieustępować wł . . . .
cięstwo nasze.

Gdy w tem przynoszą mi telegram.

Chamonix 18 lipca. Pewien turysta, który dwa dni temu wybrał się na wycieczkę, dotąd nie wrócił.

Zanotowałem skwapliwie, chociaż przypomniałem sobie jak nieraz, po trzy dni nie wracałem z wycieczek i nikt się o to nie kłopotał. Wyznaję szczerze, że mi się teraz na tę myśl bardzo przykro zrobiło. Po trzech minutach przyniesiono mi jeszcze parę telegramów.

Chamonix 18 lipca. Turyści z Chamonix zaniepokojeni są tem, że jeden z nich dotąd nie wrócił.

Chamonix 18 lipca. Niepokój turystów wzrasta z każdą chwilą.

Chamonix 18 lipca. Przypuszczają, że turysta, który 16 bm. udał się w góry, zginął.

Teraz już co minutę otrzymywałem stosy telegramów,

— Zbudź się pan! zawołałem na dra Poradzkiego, jest opatrzność nad nami! Ktoś kark skręcił w Szwajcaryi. — Będzie numer pełny; jednak nie zdołamy zdążyć na szóstą. — Niech pan biegnie do drukarni, trzeba porozlepiać afisze:

Z powodu katastrofy w Szwaj-

caryi opóźnienie wydawnictwa — dodatek nadzwyczajny bezpłatnie.

Tymczasem depesze napływały dalej. — Nie mogłem nastarczyć z czytaniem.

Genewa 18 lipca. Turysta, który jak przypuszczają zginął, nazywa się Müller.

Chamonix. — Turysta, który zginął, nazywa się Otto Müller.

Chamonix. — Sądzą, że turysta Otto Müller wpadł w szczelinę lodowca.

Genewa. — Wieść o nieszczęśliwym wypadku Müllera potwierdza się.

Zürich. — Turystą, który zginął prawdopodobnie wskutek własnej nieostrożności, jest profesor chajdejskiego języka w Berlinie dr. Otto Müller.

Chamonix. — Dwaj przewodnicy Martin i Hofer utrzymują, iż widzieli przedmiot jakiś w szczelinie lodowca Mariahilf, na głębokości 300 mtr. — Sądzą, iż przedmiotem tym jest ciało nieszczęsnego profesora.

S a l l a n c h e s. Właścicielka tutejszego hotelu »Sempach« utrzymuje z całą stanowczością, iż przedmiotem widzianym przez przewodników nie jest prof. Müller tylko jej ciele, które zginęło przed tygodniem.

Berlin 18 czerwca. Prof. Otto Müller urodził się w Kottbas w 1852 roku, uczęszczał na Uniwersytet w Würzburgu, gdzie kształcił się u słynnego prof. Schummera i u sławy naszej prof. von Schnarche. Habilitował się w Bonn w 1875 r.; mianowany zwyczajnym profesorem chaldejskiego języka w Berlinie, zaraz w roku następnym, stale odtąd między nami przebywał. Zmarły, posiadając umysł niesłychanie wszechstronny i subtelny, ogłosił mnóstwo naukowych prac, z których tu kilka przytaczamy: »Chaldea w czasach przedhistorycznych«, »Chaldea w starożytności«, »Herodot i Chaldea«, »Ogólny pogląd na Chaldeę«, »Klimat Chaldei w czasach przedhistorycznych«, »Ozdoby kuchenne Chajdejczyków«, »O najdawniejszych obróżach chajdejskich«, »O pasożytach raków wód słodkich chajdejskich« i ostatnie najważniejsze dzieło, będące niejako śpiewem łabędzim nieszczęśliwego uczonego, dzieło, które posunęło naukę o całe stulecie naprzód i okryło wiekopomną sławą nietylko znakomitego myśliciela, ale i całą jego ojczyznę, dzieło, którego tytuł każdy

ma dziś na ustach: »Dlaczego Chaldejczycy nie wynaleźli prochu?«

Berno szwajcarskie. Według słynnego geologa prof. Lincolna z Waszyngtonu przyczyną katastrofy, jakiej uległ prof. Otto Müller, było ciągłe posuwanie się naprzód lodowca Mariahilf.

Fryburg. Według prof. geologii w Glasgowie Maxa Dogburial, prof. Müller uległ wypadkowi z powodu ciągłego cofania się lodowca Mariahilf.

Boston: Geolog Lincoln nigdy nie istniał. Lincoln był prezydentem St. Zjednoczonych, zabito go blisko czterdzieści lat temu.

Lucerna. Z powodu wypadku jakiemu uległ prof. Otto Müller, istnieje projekt zwołania w roku przyszłym kongresu geologów do naszego miasta.

Glasgow. Max Dogburial nie jest profesorem naszego uniwersytetu, jest to oprawca miejski w Hull.

St. Maurice. Lodowca Mariahilf nie znamy, jest to podobno nazwa wiedeńskiego cyrku.

Wiedeń. Cyrku Mariahilf nie znamy, jest to nazwa jednej z ulic.

Chamonix. Turysta, który zginął, nie nazywa się Müller, tylko Meyer.

Chamonix. Meyer, który zginął, nie jest profesorem chaldejskiego języka, jest to profesor skakania na rękach z cyrku Barnuma.

Chamonix. Prof. Meyera, którego wszyscy uważali za straconego, widziano w stanie zupełnej nieprzytomności w oberży »pod jabłkiem Wilhelma Tella«.

Chamonix. Nieprzytomność profesora Meyera pochodzi z zażycia płynu zwanego Berliner Weissbier, którego tu powszechnie używają do trucia szczurów.

— Od redakcyi »Przeglądu wszechświata z przyległościami«.

Starając się zawsze, aby naszym czytelnikom dać jak najpewniejsze informacye z fachowego źródła, udaliśmy się do nestora naszych uczonych prof. chemii Ramolskiego o objaśnienie, czem jest mieszanina zwana Berliner Weissbier. Oto co mówi szanowny profesor:

— Berliner Weissbier nie trzeba brać za jedno z Berliner Blau — są to dwa zgoła różne połączenia. Berliner Weiss-

bier jest to płyn przeźroczysty, lekko opalizujący, przylegający do języka. W skład jego wchodzi głównie woda, kwas pewien i alkohol w ilości ośm dziesiątych, do jeden cały dwie dziesiąte procentu, a nawet więcej, jeżeli mianowicie dodamy doń spirytusu bądź to pod postacią rumu bądź koniaku. Berliner Weissbier znosi obadwa te dodatki znakomicie. Berliner Weissbier wyrabia się z pszenicy, można go jednak również otrzymać z owsa i żyta a nawet jak najnowsze badania wykazały, także z kukurudzy, bobu a nawet i wyki, ale wtedy nie będzie to Berliner Weissbier tylko zupełnie coś innego. Berliner Weissbier w miarę użyty, 6—12 litrów dziennie nie działa szkodliwie na organizm ludzki, co najwyżej wywołuje w nim objawy, które Rzymianie nazywali *vomitus*. Inaczej rzecz się ma ze szczurem i świnką morską, dla których już trzy litry wyżej wspomnianego środka działają zabójczo. W ilości 24 litrów na dzień Berliner Weissbier wywołuje u ludzi *delirium tremens* po upływie pięciu lat. Po ośmiu

latach może nawet sprowadzić śmierć, jeżeli ta naturalnie już wcześniej z jakiego innego powodu nie nastąpiła.

Numer był gotów!

RAUT CZYLI CHORA MUZA.

DRAMAT NARRACYJNY.

HUMORESKA SECESYJNA.

Zjadaczom bibuły w dowód
współczucia tę pracę poświęca autor.

AKT I.

(W śródmieściu, w kamienicy na piętrze, salon obszerny, styl secesyjny, na ścianach obrazy przedstawiające dla każdego coś innego, garnitur mebli. sosnowych z bronzami, na środku salonu trzy fortepiany w stylu zakopiańskim, z boku estrada; na wszystkiem pieczęć sekwestratora. Nieustanny daleki turkot dorożek, wozów rozwożących piwo i karawanów, słychać dzwonki tramwajów elektrycznych, trąbki rowerów, dzwony kościelne i gwar ulicy. — Koło drzwi wchodowych stoi GOSPODARZ DOMU, mecenas nowych kierunków w sztuce i literaturze i wita przybywających gości. W głębi stoją córki gospodarza: ELŻBIETECZKA (18 lat), i PAULECZKA (10 lat), PANNA WANDA znana folklorystka (tłomaczyła grób Agamemnona na lwowski język i zmazurszczyła poezye Bohdana Zaleskiego), kilka PRZYJACIÓŁEK, STARY SZLACHCIC, PROFESOR, AKTOR, KRY-

TYK PROFUNDUS, CHŁOP w sukmanie z córką KACHNĄ i NASTKĄ. Wchodzą czterej POECI, z których trzech ubranych w modnie skrojone fraki różnych kolorów, w długich butach do kolan, w szerokich kamizelkach z czasów Ludwika Filipa, a metalowych guzikach znaczonych literą »M«; czwarty poeta ubrany w zwykłe frakowe ubranie).

GOSPODARZ.

Witam panów na tym progu.

POETA SYMBOLICUS.

Czołem panie gospodarzu!

(Zwracając się do panien).

O czem panie teraz gwarzą?

ELŻBIETECZKA.

O koledze panów czwartym,
Co tam smutny stoi w rogu.

POETA ENIGMATICUS.

Eh! on w fraku jest wytartym,
Dzisiaj czyścił go benzyną.

ELŻBIETECZKA.

I tak wieńce go nie miną.

POETA AETHERICUS TRISTIS.

Panie może co zagrają?
Widzę nuty! Widzę nuty!

PAULECZKA.

Niech panowie wprzód pobają.

POETA ENIGMATICUS.

Dzisiaj maj jest, a nie luty.

ELŻBIETECZKA.

Jaka głębia w każdem słowie!
Co nasz krytyk na to powie?

KRYTYK PROFUNDUS.

Do uwielbień jestem skory
Naszych wieszczów,
Lecz z ust kleszczów
Niech wypuszczą swe utwory.

(Śpiewa).

Bez poetów niema wierszy.
A bez wierszy niema nas;
Gdy usłyszę oddech szerszy,
Wnet go w słucki stroję pas.

PANNY CHÓREM.

Jakie ładne, jakie ładne!

STARY SZLACHCIC.

Niech przepadnę...

POETA SYMBOLICUS.

Pierwszeństwo mają panie:
Najpierw gra, potem deklamacya.

CAŁY SALON OPRÓCZ PANIEN.

Jest w tem racya, jest w tem racya.

STARY SZLACHCIC.

Poezya — obiad, muzyka — śniadanie.

(Panny siadają do fortepianów, panna Wanda folklorystka gra sonatę Griega przy akompaniamencie sabałowych skrzypiec, Elżbieteczka wykonuje Wagnera pieśń marynarzy, Pauleczka gra: »Wlazł kotek na płotek«. Wszystkie trzy panny grają równocześnie. Ogólny zachwyt, przeciągłe oklaski, komplementa. Wnoszą herbatę).

CHŁOP.

Dziwne mody, dziwne mody!
Miast gorzałki — żółte wody.

KONIEC AKTU I.

AKT II.

(Ten sam salon. Goście siedzą).

POETA ENIGMATICUS (*wchodzi na estradę i deklamuje)*:

Czyście widzieli śmierci dolinę,
Gdzie krwawa rzeka swe nurty toczy,
Czerwoną falą mkną trupy sine
Z wytrzeszczonemi szklanemi oczy?

Gdzie rzucisz okiem nic, oprócz zgliszczy
Pośród popiołów iskra nie błyszczy,

Milczenie, pustka, głucho dokoła,
Kruk tylko kracze i sowa woła.
W szarych popiołów smętnej krainie
Nad brzegiem krwawej zasiadam rzeki
I patrzę w falę. Przedemną płynie
Ciał zbity szereg, zgniłych na wieki.

LICZNE GŁOSY.

Przeszedł Danta! przeszedł Danta!

POETA AETHERICUS TRISTIS *(deklamuje)*:

Słowików śpiew
Zamęcza mnie,
Nie lubię róż
Nie lubię nie,
Uciekam w las
I w lesie źle!
Obrzydł mi już
Nawet szum drzew!
Gdzie spojrzę — grób
Ah! jam już trup.

LICZNE GŁOSY.

Niczem Heine! niczem Heine!

POETA SYMBOLICUS *(wstępuje na estradę i deklamuje)*:

Moja dusza upiorzyca
Upowita w skalny dźwięk

Mchów grobowych — bladolica
Srebrnopióra — mglisty lęk
W trzcinach nóg mych wpaja jadem
Dzikiej pieśni, co szatański
Śmiech przerywa, zgubnym śladem,
Gdy w kostnicy anioł pański
Wśród powiewnych życia mar
Kłosem cierni niesie dar;
Wiatr brzezinę czasem skłoni,
Jak zabawkę
Po jeziora smagłej toni
Praboleści i przesmutku
Szczypie trawkę.

(Powszechna ekstaza. Panie wieńczą poetów, poeci oddają sobie wzajemnie tombakowe złocone pióra).

ELŻBIETECZKA.

Jakie śliczne! jakie śliczne!
Te ich wiersze symboliczne.

PAULECZKA.

Bo dla ciebie — pisze ładnie
Każdy, co ci w oko wpadnie.

P. WANDA folklorystka.

Szczere tchnienia, pełne czucia,
Brak im tylko jest podkładu
Ludowego: ni Pokucia,
Ni kaszubskiej mowy śladu.

Oto siedzi z hożą Nastką
Piękna Kachna: idźcie rano
Wspólnie żąć lub grabić siano,
W wiejskim skąpać się pierwiastku...
(*Zwracając się do chłopa*).
Pozwalacie gospodarzu?

CHŁOP.

Do mej roli zasie komu,
Parobczaków dosyć w domu!

STARY SZLACHCIC.

Strzel w łeb, nie rozumiem ani słowa.

AKTOR.

I mnie także boli głowa.
Grałem może ze sto razy
Tych panów dziwne obrazy,
Ale wyznać muszę szczerze,
W zrozumienie ich nie wierzę.
Nie rozumiem ani krzty! ani krzty!

WSZYSCY (*ośmieleni*).

Ani my — ani my.

POETA SYMBOLICUS (*na stronie*).

Wszyscy kpy, wszyscy kpy.

KRYTYK PROFUNDUS.

Zrozumienie tylko psuje

Słów misternych piękną grę
I natchnienie odlatuje,
Rwąc fantazyi lśniącą krę.

PROFESOR.

Si non vis intelligi — debes negligi.

KONIEC AKTU II.

AKT III.

(Ci sami. Magnetyzer i medium uśpione, lampy zgaszone, wszyscy siedzą, oczekując w skupieniu chwili ukazania się duchów — duch ukazuje się).

MAGNETYZER.

Duchu, ktoś ty?

DUCH.

Jam Słowacki.

WSZYSCY.

Boże wielki! Boże wielki!

DUCH SŁOWACKIEGO.

Moje skradli ka-mi-zel-ki
Za szerokie na ich piersi.

POECI CHÓREM.

My nie pierwsi — my nie pierwsi.

(Duch znika, ukazuje się inny).

MAGNETYZER.

Duchu, ktoś ty?

DUCH.

Jam Maeterlinck...

LICZNE GŁOSY.

Co Maeterlinck ty prawdziwy?
Wszak Maeterlinck jeszcze żywy...

DUCH.

Chociaż życie nie uciekło,
Ja po swoje nawet w piekło!
Te guziki »M« znaczone
Zostały mi ukradzione!

(Z poza sceny słychać głos handełesa: »Stare papiery kupuję, dobrze płacę, stare papiery).

ZMIANA DZIESIĄTKI.

Chciałem zmienić dziesiątkę na drobne. Wstępuję do najbliższego sklepu.

— Właśnie dopiero co zmieniliśmy jednej pani stówkę na same korony... Gdyby pan dobrodziej chwileczkę wcześniej przyszedł... o minutkę, to z największą chęcią, ale naprawdę nie mamy. A może czem możemy służyć?

Próbuję więc szczęścia gdzieindziej, ale i tu właśnie wysłano chłopca z dziesiątką po drobne i jeszcze nie wrócił.

Nie było rady, musiałem koniecznie coś kupić. Ale co? Naturalnie drobnostkę. Chcąc mieć dużo drobnych z małego banknota, trzeba kupować drobnostki. Jest to pewnik ekonomiczny. Poszedłem więc do pierwszej lepszej trafiki i żądam zapałek szwedzkich w najlepszym gatunku,

potrząsając przygotowanym do płacenia papierkiem. Cóż kiedy i tutaj słyszę:

— Nie możemy wydać reszty!

Wziąłem się wobec tego na sposób. Schowałem dziesiątkę do kieszeni i w następnym składzie tytoniu, nic nie mówiąc chwytam za papierosa, biorę go do ust i dopiero wtedy pokazuję pieniądze.

Była to chwila dla mnie podwójnie przykra: narażałem się na wymówki przypartego do muru trafikanta, a równocześnie byłem zmuszonym palić wstrętnego papierosa, zwanego jakby na urągowisko »damskim«.

— Czy nie mógłbym prosić o drobne?

— Nie panie. Nie mam ani centa — odrzekłem kłamiąc, o ile pamiętam, po raz pierwszy w życiu.

— No, to pan dobrodziej kiedyindziej zapłaci. Całuję rączki.

Przeklinałem łatwy kredyt, także pierwszy raz w życiu.

Udałem się na pocztę. Chcę kupić pięciocentową markę: niema drobnych. Chcę kupić przekaz: niema drobnych. Chcę kupić blankiet na telegram: dostaję za darmo... Nieszczęście prawdziwe.

Mogłem co prawda pójść do prezydenta poczty, radcy Seferowicza, ale musiałbym zapisać się na audyencyę, musiałbym czekać może jaką godzinę, a dla mnie czas, po zdrowiu, pieniądzach, sławie, przyjaźni, wesołem towarzystwie, ciepłem łóżku etc. etc. jest bodaj czy nie pierwszą rzeczą. Zresztą nie byłem absolutnie pewny czy i w wysokiem prezydyum nie narobiłbym moją drobną, chociaż wielkiej wagi sprawą, kłopotu, czybym jednem słowem nie stworzył sytuacyi niemożliwej dla pana prezydenta... Zdarzają się wypadki...

W tragicznych wypadkach, nie należy przedewszystkiem tracić zimnej krwi, a praktyczny pomysł sam się znajdzie. Ciekawy jestem, coby zrobił jakiś zapaleniec na mojem miejscu?

Ręczę, że jeżeliby nie powybijał wszystkich szyb na poczcie, to w każdym razie poszedłby ze złości, co najmniej na kufel piwa albo do kawiarni na dzienniki. Splenowaty Anglik powiesiłby się, a skutkiem tego przez trzy dni roztrząsanoby we Lwowie ważną kwestyę, na czem się powiesił i o której godzinie?

Co do mnie postąpiłem zupełnie inaczej: kupiłem przekaz za centa i wysłałem sam do siebie dwie korony. Resztę dostałem natychmiast i bez żadnych trudności.

Korzystając z wolnego miejsca na przekazie napisałem sam do siebie parę serdecznych słów przeproszenia za tak małą przesyłkę.

Dla uspokojenia czytelnika dodaję, że dług mój zaciągnięty przez kupno owego papierosa, już zapłaciłem, co do centa, rzecz prosta nie przez skrupulatność, tylko dla wyrobienia sobie kredytu na przyszłość.

REWIZYA OSOBISTA.

ALFRED SNOBSKI.

DR. WSZECH NAUK LEKARSKICH,
OKULISTA
SPECYALISTA CHORÓB SKÓRNYCH I WEWNĘTRZNYCH, BYŁY ASYSTENT KLINIKI CHIRURGICZNEJ
PROF. BILLROTHA.

Tak brzmiał napis umieszczony koło bramy wchodowej pokaźnej kamienicy, przy jednej z ruchliwszych ulic Lwowa.

Dr. Snobski dopiero od miesiąca bawił we Lwowie... Był to mój serdeczny przyjaciel i długoletni towarzysz z ławy szkolnej.

Rozmijaliśmy się czasem; to on mnie przeskoczył o jednę klasę, to ja jego, ale w końcu po kilkunastu latach gimnazyalnych studyów, spotkaliśmy się znowu na uniwersytecie. — Odtąd przyjaźń nasza urosła do tego stopnia, żeśmy nawet pisywali do siebie, gdy nas losy rozłączyły.

Mniej więcej równocześnie znaleźliśmy się na lwowskiem błotku.

Pomimo przyjaźni, odwiedzaliśmy się dosyć rzadko. Obfite deszcze utrudniały komunikacyę. Trudno nam było pływać w ubraniu, a inaczej temperatura marcowa i przepisy policyjne zabraniają — chodzić na szczudłach nie umieliśmy.

Skorzystawszy raz z suchego poranku, włożyłem zwykłe wiejskie kalosze, sięgające zaledwie do połowy łydki i poszedłem do mojego przyjaciela.

— Jak się masz, dobrze żeś przyszedł, właśnie o tobie myślałem... powitał mnie dr. Snobski, wstając z fotelu, na którym dotychczas drzemał — mam do ciebie wielką prośbę, czy nie oddałbyś mi małej przysługi?

— Owszem, owszem, jeżeli tylko nie nad moje siły, z największą chęcią.

— Otóż jest taka rzecz. — Wróciłem do domu dopiero o siódmej rano; nie kładłem się wcale do łóżka; jestem okropnie zmęczony, a muszę odsiedzieć godziny konsultacyjne — jestem prawie pewny, że nikt nie przyjdzie, ale ostatecznie za nic nie można ręczyć. — Po-

czątkującemu lekarzowi nie wolno zrażać pacyentów, uważasz... jeżeli mi dobrze życzysz, to mnie dzisiaj zastąpisz, a ja pójdę spać do ciebie, zgoda?

— No, wiesz żeś doskonały! nie mówię, gdyby cię wezwano na prowincyę, gdzie cię nikt nie zna, mógłbym pojechać za ciebie, ale tutaj musisz mieć przecie znajomych pacyentów.

— Ale nie mam żadnych pacyentów — przerwał niecierpliwie mój przyjaciel — miałem dotąd wszystkiego trzech chorych; dwóch umarło — zawezwano mnie jak już było za późno — a trzeciego wyprawiłem do Davos, sam go odprowadzałem na kolej. Więc, co do te[illegible] nie miej żadnych skrupułów, chyba, że się boisz o siebie... to co innego.

— O! o mnie najmniejsza, nikogo nie widuję, nikogo nie znam oprócz ciebie.

— Więc przyjmujesz propozycyę?

— Ależ najchętniej!

— Dziękuję ci... Zaraz cię zostawię samego, tylko chciałem ci dać na prędce parę niezbędnych wskazówek — no słuchaj! Każdego pacyenta pytaj, jak dawno czuje się chorym, czy dobrze sypia, czy

ma apetyt i t. p., opukaj go na wszystkie strony, przysłuchaj się oddechowi przez tę oto słuchawkę — płaski koniec przytyka się do ciała. — Kto się skarży na ból w piersiach, to niżej pasa nie potrzebujesz badać... Następnie słuchaj z zaciekawieniem, co ci chory o sobie rozpowiada, choćby przy tem opowiadał o swojej babce i dzieciach; pacyenci to bardzo lubią. — Dalej, nikomu nie perswaduj, że jest zdrowym, to tylko obraża i na tem się kończy, że idą do innego lekarza... pamiętaj sobie: hypochondryk to nasza dojna krowa. — Lekarze z wyrobioną praktyką uciekają od nich, ale mnie na to nie stać. — Teraz przejdźmy do terapii. Kto ma gorączkę: olej rycinowy i chinina; dla hypochondryków: pigułki chlebowe; — a jak nie możesz poznać choroby, mała dawka *Kali iodati* nigdy nie zaszkodzi, a pomódz może.

— Ależ wiem! poco mnie uczysz? przerwałem oburzony. — Przechodziłem wszystkie możliwe choroby, więc potrafię leczyć, a nawet i od biedy zapisać receptę.

— Nie! na to nie pozwolę, recepty

sam przygotuję, z podpisem doktorskim nie można żartować.

To mówiąc zapisał parę świstków, oddał mi je i począł się ze mną żegnać.

— Proszę cię — dodał — rozporządzaj się, jak u siebie w domu... Masz tutaj doskonały mikroskop — tego szkiełka na dole brakuje — ale to niema nic do rzeczy, bo i tak byś nie wiele zobaczył, do tego potrzeba wprawy. Więc go używaj, gdy zajdzie potrzeba okazania gorliwości tak jak by był całym... No! dowidzenia.

— To wszystko bardzo pięknie — powiedziałem — ale co się stanie, jeżeli dzisiaj przyjdzie kto do ciebie, właściwie do mnie o poradę, a za parę dni znowu ciebie odwiedzi lub zawezwie do siebie?

— To już mnie zostaw... powiem, że tamten, to był mój asystent, który mnie zastępował, bo mnie zawezwano do Wiednia; będzie to nawet niewinna reklama.

Zostałem sam. Nie nudziłem się. W gabinecie doktorskim było dużo przyrządów, dla mnie zupełnie nowych. Musiałem wszystko dokładnie zbadać, aby się w danym wypadku nie zblamować.

Włożyłem na czoło wziernik i obejrzałem przy jego pomocy gardło mopsowi. Ponieważ się bardzo spokojnie zachował, wpakowałem mu dla wprawy dwie strzykawki Prawaza — pełne słonej wody, zamiast morfiny, pod skórę. Przyrząd Paquelina do wypalania ran, wybróbowałem na dziurawym fotelu... Wśród takich czynności czas szybko mijał, ani nie wiedziałem jak dwunasta wybiła. Wtem usłyszałem przeciągłe dzwonienie. Usiadłem czemprędzej przy biurku, wziąwszy do ręki jakieś lekarskie czasopismo.

Po chwili ktoś lekko zapukał do drzwi gabinetu.

— Proszę.

Wszedł do pokoju mężczyzna rudy, najwyżej czterdziestoletni, o czerwonych pełnych policzkach, wyglądający jak samo zdrowie.

Hypochondryk — pomyślałem — wybornie się składa.

— Czy mam przyjemność z doktorem Snobskim? — zagadnął mnie nieznajomy.

— Przecież pan czytał napis na dole i na drzwiach mieszkania — odrzekłem wymijająco.

— Jestem Wucherfreund, adwokat z Wiednia.

— Bardzo mi przyjemnie, a co panu brakuje?

— Co mi brakuje? mnie bardzo dużo brakuje — odpowiedział patrząc na mnie arogancko. Ja tu mam weksel mojej klientki pani Gitli Rizikowner na dwa tysiące reńskich i wyrok osobisty do rewizyi osobistej na pana doktora.

Nie wypadało protestować, mogłoby się zrobić gorsza awantura, więc nie sprzeciwiłem się.

Tymczasem p. Wucherfreund pobiegł ku drzwiom, wołając:

— Panie komisarz, proszę prędko, bo pan doktór co schowa.

— Oskarżę pana o oszczerstwo, ja nic nie ukrywam — krzyknąłem oburzony — spuszczając równocześnie zegarek i pugilares w fałdy firanki.

Zanim moi goście przystąpili do mnie, miałem jeszcze czas połknąć dziesięciokoronówkę złotą.

— Co pan doktór zażył? spytał podejrzliwie żyd, mieniący się adwokatem.

— Nic... pigułkę, *aurum austriacum*

rarissimum, doskonały środek na uspokojenie nerwów.

Rewizya odbyła się prawidłowo: znaleziono bardzo mało. Ubrań w szafach nie było, tylko trochę bielizny i parę krawatek. Gabinetu nie dałem sekwestrować, opierając się na nie dawno wyszłej ustawie. Ogromnie p. Wucherfreunda zadziwił brak u mnie zegarka.

— Co to za doktór — pytał — bez zegarka? Proszę mi zmierzyć puls, ja jestem chory, ja zapłacę dwa reńskie za wizytę.

Nie dałem się złapać.

Pod wieczór przyszedł mój przyjaciel. Opowiedziałem mu całą sprawę. Wysłuchał mnie bez zdziwienia, jakby był dawno przygotowany na podobny obrót rzeczy. Gdym skończył, na raz wpadł na mnie:

— Widzisz, jakie ty masz szczęście! Robiono ci rewizyę, przyznaję, że to nie miłe, ale ostatecznie można się przyzwyczaić; przynajmniej reprezentowałeś coś... doktór medycyny... Weksel na przyzwoitą sumę dwóch tysięcy... nic ci nie wzięto... a ja jak głupi spałem u ciebie najspokojniej, nic nie przeczuwając, w tem wcho-

dzi do mnie ten sam Wucherfreund, pokazując mi weksel na ośmdziesiąt guldenów podpisany przez ciebie doktoranda filozofii, do-kto-randa! także stanowisko społeczne! Wyobraź sobie moją minę! Notabene, porwał mi mój niklowy zegarek, innych z zasady nie noszę. Daję ci najświętsze słowo honoru; gdybym był miał przy sobie pieniądze, byłbym wykupił ten twój dokument. Kto pożycza ośmdziesiąt guldenów? Kto? — krzyczał, biegając po pokoju.

— Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam, bąkałem zmieszany, daruj mi! nie moja wina! ja, byłbym brał, byłbym brał, ale mi nie chcieli więcej pożyczyć, wyksztusiłem, cały zapłoniony od wstydu.